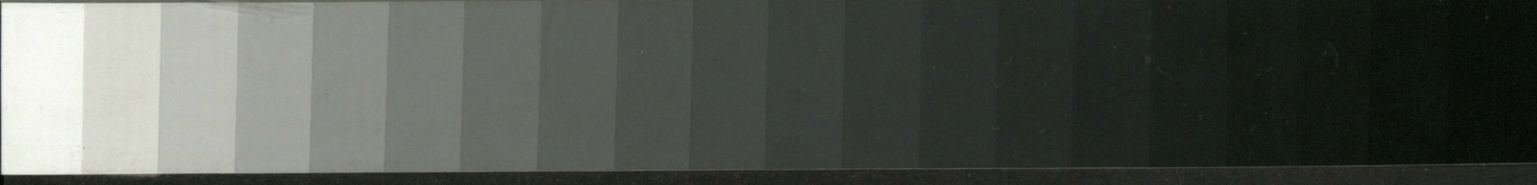


Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

DANES-PICTA.COM



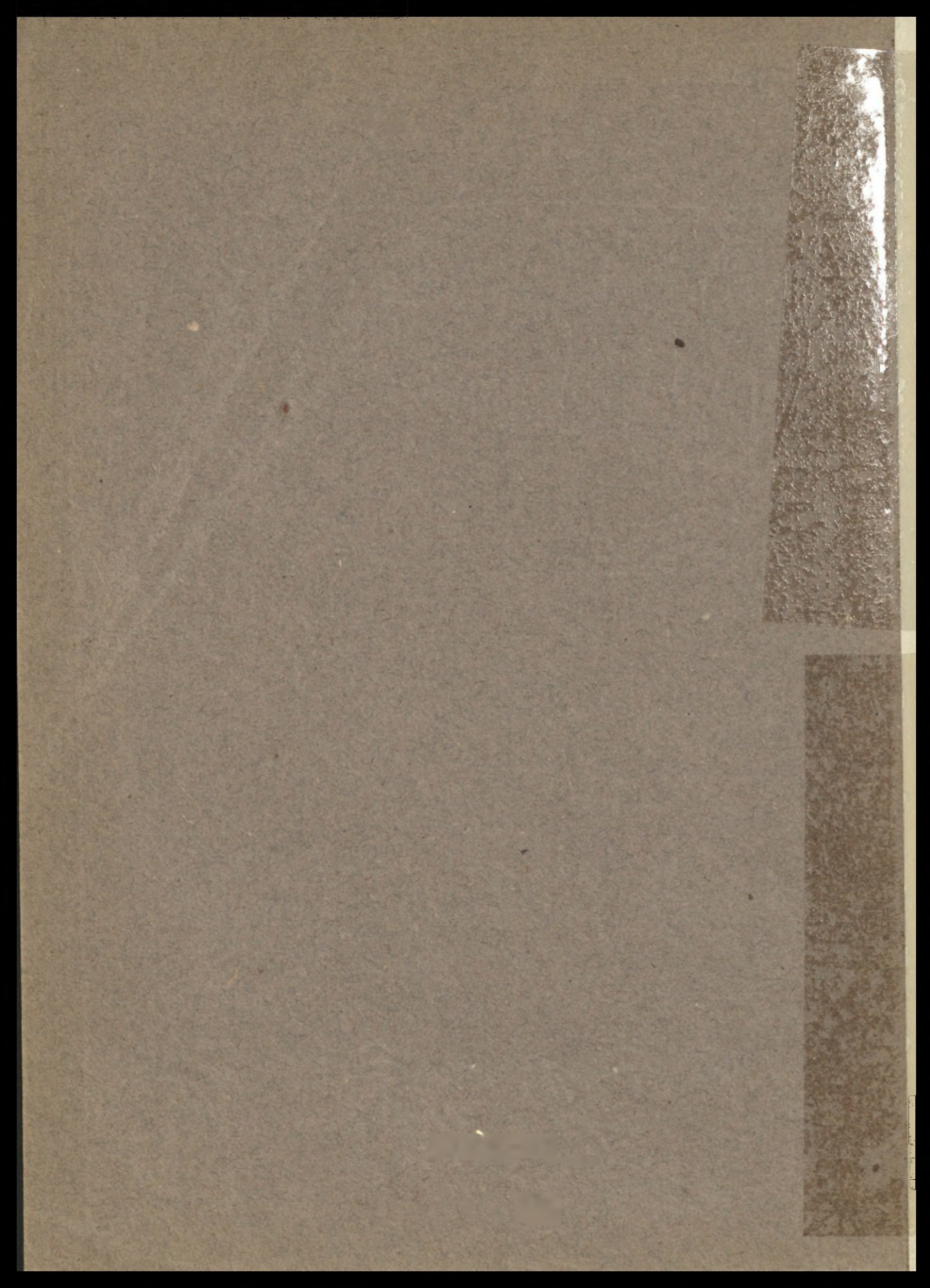


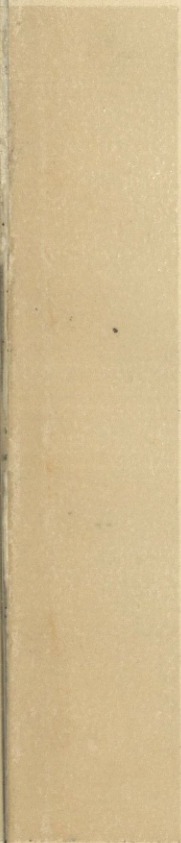
**BOJÓW BRYGADY
PIŁSUDSKIEGO**

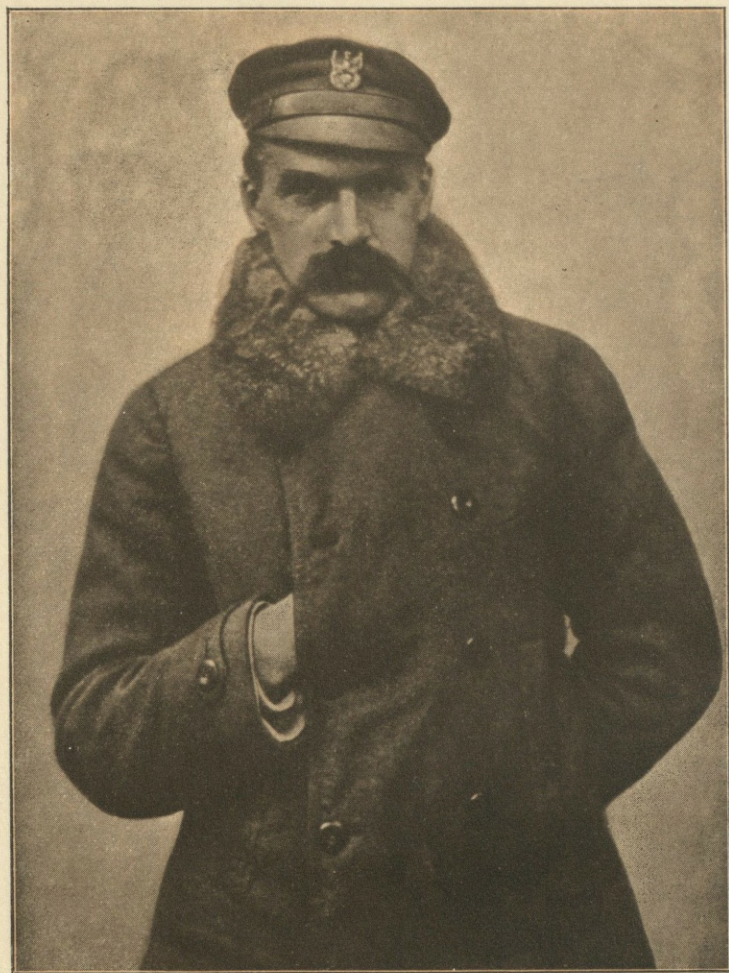


1914

1915







Spisawski

Fot. Ryś, Zakopane.

Z BOJÓW BRYGADY PIŁSUDSKIEGO

KRAKÓW 1915 * NAKŁADEM MICHAŁA BARANOWSKIEGO
CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ * DUNAJEWSKIEGO L. 5

49

355.91 (438)g : 355.91 (32W1)



WYDANO Z DOBLETÓW
Biblioteki Narodowej

32454 / 2



1952 D 823/124

WSTĘP.

[*Wstęp do pracy naukowej*]

Dziennik działań bojowych brygady Józefa Piłsudskiego.

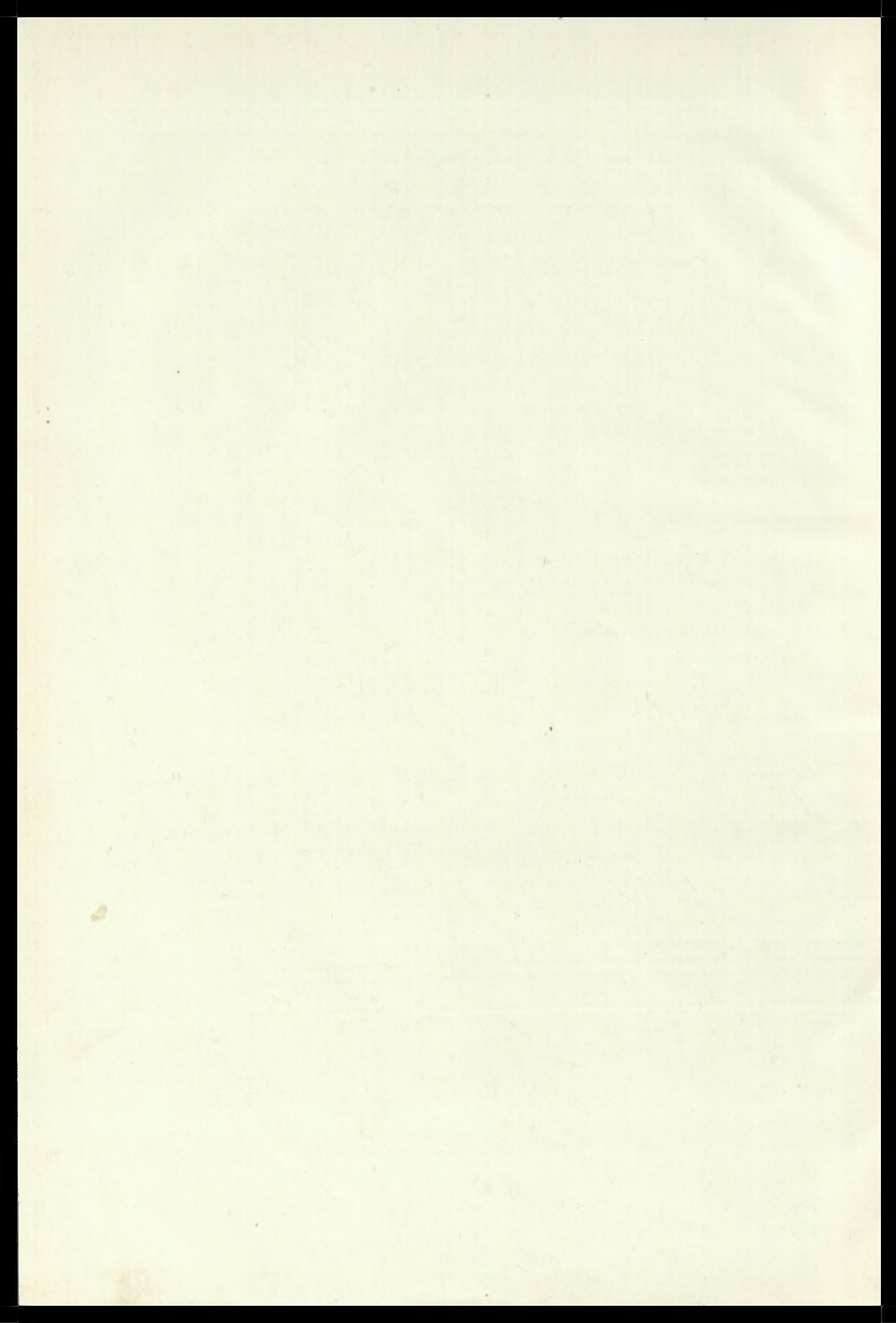
- Sierpień 6. Pierwszy oddział strzelców (1 kompania kadrowa i oddział konny) przekracza granicę Królestwa Polskiego w Michałowicach.
Utarczka kawal. pod Słomnikami.
7. Zajęcie Miechowa.
8. Zajęcie Jędrzejowa. Koncentracja dalszych kompanii w Miechowie (przyszły III. baon).
12. Zajęcie Kielc.
Utarczka kawaleryi pod Szydłowkiem.
" " " Zagórzem.
Bój w ulicach Kielc.
13. Utarczki kawal. pod Szydłowkiem.
Bitwa na linii st. Kielce—Czarnów.
14. Bitwa na linii Brzezno—Brzezi—Mosty nad Nidą (przyszłe baony III. i IV.).
15. Koncentracja pod Chęcunami i Bolminem całego oddziału. (Podział na baony: I., II., III., IV. i V.).
15—18. Marsz flankowy na Kielce przez Piekoszów—Tumlin.
18. — Postój w Kielcach.
- Wrzesień 11. Wywiady kawaleryjskie i oddziałów piechoty pod Szydłowicem, Końskie, Sulejów i Włoszczowę.
Potyczki pod Skarżyskiem.
" " Niekłaniem.
" " Końskiem.
" " Mniowem.
11—15. " " Żarnowem—Paradyzem.
Marsz z Kielc do Szczucina.
Potyczki pod Staszowem.
" " Sichowem.
" " Beszową.



OFICEROWIE STRZELECCY W SIERPNIU 1914 R. W KIELCACH.



KOMPANIA.



- Wrzesień Wymiana karabinów systemu Werndla na Manlichery.
18. Potyczka pod Borusową.
- " " Nowym Korczynem — kawal.
- 19—23. Walki pod Nowym Korczynem.
- Przeprawa przez Wisłę i nocny napad na Nowy Korczyn — II. i III. baony.
- Bój III. baonu pod Uciskowem.
- " II. " " Grotnikami.
- Potyczka kawal. pod Kociną.
- Napad na Ostrowce — I. baonu — nocny.
- Bój I. i V. baonu pod Ostrowcami—Grotnikami.
- Potyczka kawaleryi pod Wiślicą.
- Bitwa IV. baonu pod Winiarami.
- Potyczka kawaleryi pod Chotelem.
- " " " Wiślicą.
- " " " Czarkową.
- Bój pod Ksanami—Czarkową.
- Napad nocny na Szczytniki.
28. — Marsz pod Dęblin.
- Paźdz. — 19. Potyczki kawaleryi :
- pod Ruszczą.
- " Koprzywnicą.
- " Gniewoszowicami.
- " Szewcami.
- " Samborcem.
- Detaszowanie pod Warszawę kawaleryi II. baonu w dniu 13 października, IV. baonu w dniu 18 października.
21. Wywiad I. i III. baonu na Garbatkę. Potyczka pod Policznem.
- 22—26. Bitwa pod Laskami.
22. Bój V. i VI. baonu pod Trupieniem.
- " leśny III. baonu pod Anielinem.
23. " I, V. i VI. baonu pod Laskami.
24. " I, III, V, VI. i uzupełniającego baonu pod Laskami.
25. " I, III, V, VI. i " " " "
26. " I, III, V, VI. i " " " "
- Walki oddziałów detaszowych do dnia 5 listopada :
21. Potyczki — II. — pod Bednarami.
22. " II. " Bolimowem.
23. " II. " Zdunami.

- Paźdz. 23. Potyczki — II. — pod Bolimowem.
 Bitwa pod Łowiczem — II. — kawal.
 „ „ Budami — IV.
 24. „ „ Maurzycami — II.
 „ „ Niedabyłem — IV.
 25. „ „ Budami Michałowskiemi — IV.
 Potyczka — II. — pod Kutnem.
 26. „ — IV. — „ Ignacówką i Niedabyłem.
 „ — kawal. — pod Giecznem.
 „ „ „ Władysławowem.
 27. Bitwa — III. — pod Topołą.
 „ — III. — „ Tumem.
 28. „ — III. — „ Łęczycą.
 Potyczka kawaleryi pod Modłą.
 29. Bój — II. — pod Gostkowem.
 „ — II. — „ Turem.
 30. „ — II. — „ Glinnem.
 3. XI. Bitwa — II. — pod Mroczkami i Chlewem.
 4. XI. „ — II. — „ Poprężnikami.
 5. XI. „ — II. — „ Maszowem.
-
27. Potyczka — VI. — pod Czarną.
 „ — VI. — „ Słupcą.
- Listopad 2. Bitwa I., III., IV., V. i VI. baonu pod Brzechowem.
 3. „ I., III., IV., V. i VI. „ „ „
 9—11. Marsz z za Wolbromia przez Ulinę mł. do Krakowa, I., III., V.,
 kawal. :
 Potyczka pod Chliną.
 „ „ Tczycą.
 „ „ Uliną.
 „ „ Czaplami.
 „ „ Wiktorką.
 „ „ Wygodą.
 „ „ Władysławem.
 „ „ Celinami.
 „ „ Widomą.
 „ „ Michałowicami.
9. Bitwa pod Krzywopłotami, IV., VI., artyl.
 10. „ „ „ „ IV., VI., „

- Listopad
11. Bitwa pod Krzywopłotami, IV., VI., artyl.
 12. " " " IV., VI., "
 13. " " " IV., VI., "
 14. " " " IV., VI., "
 15. " " " IV., VI., "
 16. " " " IV., VI., "
 17. Nocny bój o Załęże, IV., VI., "
 18. Bój pod Domaniewiczami, IV., VI., "
 19. Bitwa pod Krzywopłotami, IV., VI., "
 20. " " " IV., VI., "
 21. " " " IV., VI., "
 23. Przejazd koleją z Makowa do Mszany Dolnej, I., II., III., V., kawal.
Napad nocny na Chyżówki, II. i III. baon.
 24. Utarczki kawaleryi pod Słopnicami.
" " " Kamienicą.
 25. Bitwa pod Limanową, I. i V. baon.
 26. " " Słopnicami, I., III. i V. baon.
Detaszowanie II. baonu na drogę Nowy Sącz—Nowy Targ.
 27. Bitwa na przełęczy Chyżówki.
Utarczki w Dobrej.
 28. Bitwa na przełęczy Chyżówki.
 29. " pod Chyżówkami, Jurkowem, Dobrą.
 30. Utarczki w Jurkowie.
- Grudzień
1. Utarczka nocna pod Słopnicą.
 2. Napad nocny na Słopnicę, I., III. i V. baon.
 3. Potyczka kawaleryi pod Zalesiem.
" " " Kamienicą.
 4. " " " Wysokiem.
 5. Bitwa detaszowanego V. baonu pod Bełdnem.
" kawaleryi pod Trzetrzewiną.
Marsz flankowy na Nowy Sącz, I., III., V., artyl.
Bój nocny pod Rdziostowem.
 6. Przeprowadzenie kawaleryi za Dunajec i bój pod Dąbrową.
Bitwa pod Marcinkowicami, I., III., artyl.
 7. " " Pisarzową, I., III., "
 8. " " Limanową, I., III., V., "
 9. " kawaleryi pod Zbłudzą.
Utarczki pod Jerzową Wodą.
 10. Bitwa pod Zabrzeziem, III. i art.



Grudzień 10. Ułarczka kawaleryi pod Zagórzynem.

11. Atak na Łącko, III., kawal.

14—20. Postój w Nowym Sączu.

21. Marsz na linię boju pod Tarnów.

22. Bój pod Lichwinem.

23. Bitwa pod Łowczówkiem, I., II., III., IV., V., VI. uzup., kawal.

24. " " " I., II., III., IV., V., VI. " "

25. " " " I., II., III., IV., V., VI. " "

26. " " " I., II., III., IV., V., VI. " "

27. —

Styczeń—18. Postoje i marsze: Wróblowice, Lipnica, Zdonia.

18—24. Marsz do Kęt.

24. —

Luty — 26. Postój w Kętach.

Marzec 3. —

Maj — 11. Walka pozycyjna nad Nidą.

10. III. Walki forpocztowe pod Sobowicami.

27. IV. " " " Kopernią i Pińczowem.

30 IV.—3 V. Bój demonstracyjny nad Nidą.

3. Atak nocny I. baonu na okopy rosyjskie pod Kopernią.

11—15. Pościg za ustępującym nieprzyjacielem.

Potyczka kawaleryi pod Straszniowem.

" " " Staszowem.

" " " Oględowem.

" " " Kurozwękami.

" " " Rytwianami.

16—25. Boje pod Klimontowem i Opatowem.

16. Bój pod Beradziem.

" 2 pułku pod Swojkowem—Włostowem.

17. " 2 " " Garbowicami.

18. " 2 " " Konarami.

18. " V. baonu " Kozinkiem.

19. " V. " " "

19. " 2 pułku " Konarami

19. Bitwa VI. baonu pod Olszowcem.

19—22. Walka pozycyjna I. baonu 1 pułku pod Gorzkowem.

20. Bitwa V. i III. baonu pod Kozinkiem.

20. " 2 pułku pod Konarami.

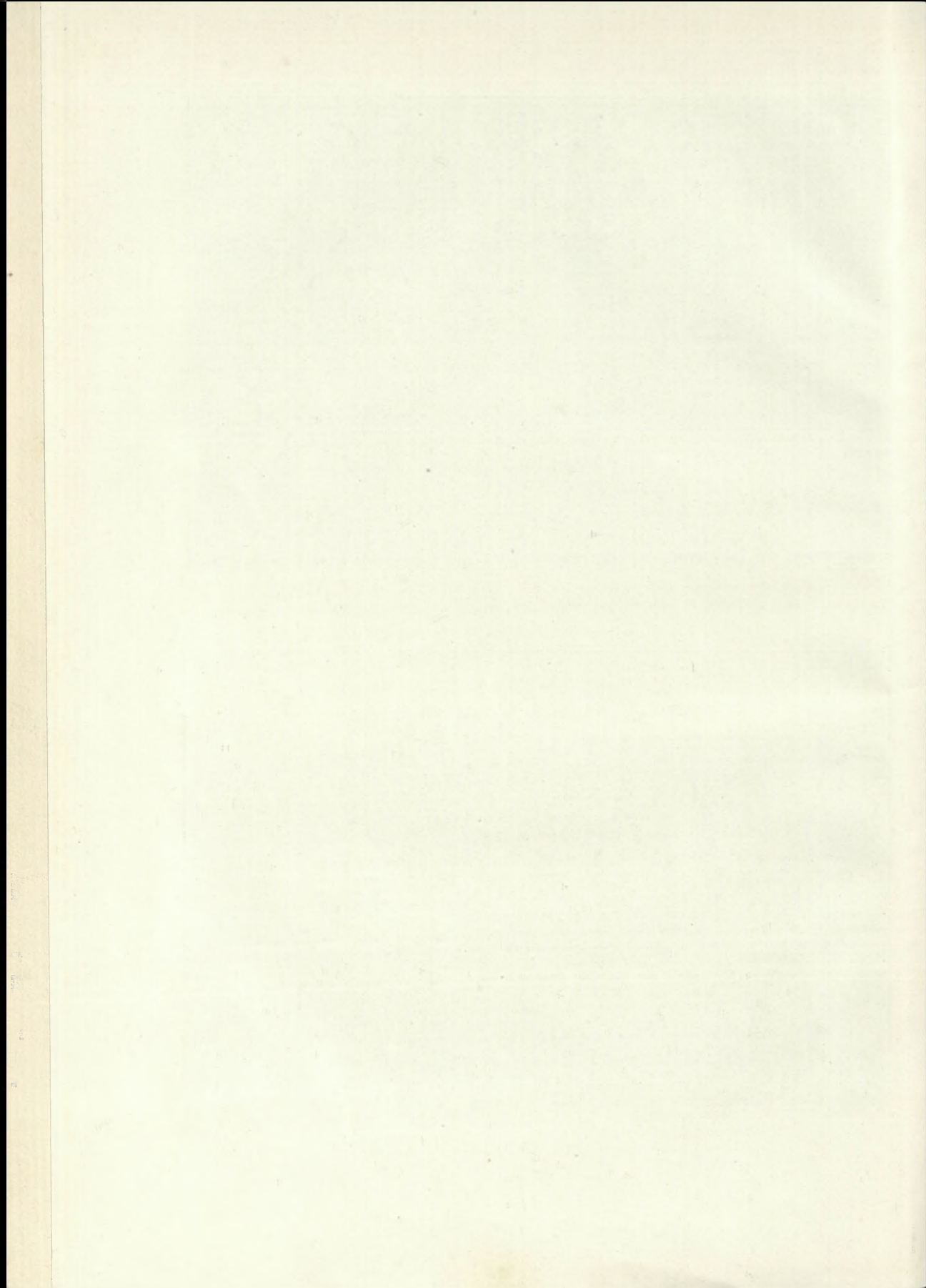
20. Ułarczki VI. baonu pod Winną.



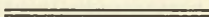
GRUPA OFICERÓW.



W OKOPACH.



- Maj
- 21. Bitwa III. i V. baonu pod Kozinkiem.
 - 21. „ 2 pułku pod Konarami.
 - 21. „ VI. baonu pod Wszachowem.
 - 22. „ III. „ „ Kozinkiem.
 - 22. „ 2 pułku „ Konarami—Kamieńcem.
 - 22. „ VI. baonu „ Wszachowem—Janczycami.
 - 23. „ VI. „ „ Żernikami.
 - 23. „ 2 pułku i I. baonu 1 pułku pod Przapiórowem i Kamieńcem.
 - 24. „ 2 „ I. „ 1 „ „ „ „
 - 24. „ VI. baonu pod Żernikami.
- Od dnia 25. Walka pozycyjna VI. baonu pod Żernikami.
- „ „ 25. „ „ Brygady pod Konarami—Kujawami.



Pierwsze bitwy.

Kielce, pałac gubernatora, kwatera główna,
23 sierpnia.

Siódmy, siódma godzina, siedem minut wieczór: zanotowałem w dzienniku z pewnem podniosłem wruszeniem chwilę, kiedy nie tajemnie, ale otwarcie, z bronią w ręku, przekroczyliśmy w Michałowicach granice Królestwa. W Słownikach zastaliśmy już naszą załogę, w Miechowie oddział, który szedł na Racławice i Ojców, nasze władze narodowe, mieszczące się w domu, w którym zamieszkiwał jeszcze przed kilku dniami naczelnik powiatu, w Jędrzejowie toż samo. Stan mieszkań, stan wszelkich instytucji rządowych świadczył wyraźnie, że były one opuszczone w panicznym popłochu. Popłoch ten ogarnął nie tylko urzędników, lecz i wojska. W szybkim pochodzie swoim naprzód nie mogliśmy poprostu żadnego oddziału dogonić. „Wczoraj jeszcze byli, a dziś już ich niema“, otrzymywaliśmy stałą od mieszkańców odpowiedź. Wreszcie dopiero dnia 12 b. m. o godz. 3 popoł. oddział nasz, składający się z trzech kompanij, ogółem 350 ludzi, przy odgłosie pierwszych strzałów, spowodowanych utarczką naszej kawaleryi, liczącej 12 koni, na północ od Kielc, przez krakowską rogatkę, ulicą Dużą, a potem Kolejową, wkroczył do Kielc. Przeciągnął przez pełne milczącej i zdumionej publiczności ulice i zajął dworzec.

W pałacu gubernatorskim rozpoczął urzędowanie nasz komisarz wojskowy i pierwszą jego czynnością było wydelegowanie dwóch żołnierzy do więzienia dla uwolnienia „politycznych“. Uwolniono czterech, kryminalnym pozdejmowano kajdany, kobietom zapewniono codzienny spacer, dozorcóm polecono ludzkie obchodzenie się z więźniami, skonfiskowano 7 rosyjskich karabinów i dwie paczki ładunków.

Po wkroczeniu do Kielc, główny komendant wraz komisarzem wojskowym i szefem sztabu złożył wizytę biskupowi ks. Łosińskiemu, poczem w sprawach natury politycznej odjechał do Krakowa. Władzę objął szef sztabu, który około godziny 4-ej kolejno otrzymał dwa raporty, że na wschodzie miasta ukazały się gęste oddziały kozaków. Siły nasze były zbyt szczupłe, byśmy mogli dostatecznie obsadzić wszystkie wyloty, wiodące do Kielc. To też w kilka minut potem

wraz z odpowiednim meldunkiem, trzask karabinów na ulicach zasygnalizował obecność wroga w mieście. Strzały wzmagaly się, wreszcie posypaly się jak garście grochu. To automobil z karabinem maszynowym w szalonym pędzie, zalewając kulami ulice, uderzył na dworzec, ale przywitany salwą dyżurnego plutonu zawrócił. Gdy mijał hotel Bristol, nasz oddział konny, który powróciwszy z utarczki, zajął tam kwatery, celnymi strzałami położył trupem dwóch jadących oficerów, a dwóch ciężko ranił. Szofer ostatkiem sił zdołał uprowadzić automobil za miasto, tam padł do rowu, pojazd się roztrzaskał, a ładunki karabinu stały się naszym łupem. Na ulicach miasta trwał jeszcze z godzinę zażarty bój, utarczki naszych posterunków strzeleckich i patroli konnych. Wreszcie wszystko ucichło. Kozacy, straciwszy kilkunastu rannych i zabitych, cofnęli się z miasta. W czasie tej bitwy dowódca oddziału konnego, Belina, ranił śmiertelnie pałaszem kozackiego oficera. Przekonawszy się, że mamy przed sobą większe siły, prawie, jak się później okazało, dziesięciokrotnie przewyższające nasze, brygadę jazdy Nowikowa, brygadę straży granicznej i baterię armat, szef sztabu postanowił wybrać dogodniejszą pozycję, niż ciasne ubikacje dworca, otoczonego domami, które zwęzły pole obstrzału i nie pozwalały rozwinąć się oddziałom.

Na biwak został wybrany położony na wzgórku za plantem kolejowym, o tysiąc kroków od dworca, folwarczek Czarnówek. Pod strzałami przeprowadzono przez plant tabor, potem wszystkie oddziały, oprócz dwóch plutonów, które zostały na dworcu.

Zapadła noc, pogodna, gwiazdzista, ale chłodna. Rozstawiono strażę na otoczonym chatami prostokacie podwórza. Z karabinami u boku złożyły się na gołej ziemi, jak grupy z lawy, uspione kompanie. Zapanowała głucha cisza. Czasem tylko brzęknął pałasz przesuwającego się oficera, rozlegało się niecierpliwe żucie wędzidła. Na dworcu w ciągu nocy przeprowadzono organizację obrony, umocniono dworzec, na ulicach, wiodących do niego, ustawiono barykady. Dwukrotny huk, jak wystrzał armatni, zamącił nagle nocną ciszę. Ocknął się biwak i okazało się, że z powodu, iż na stacji Moskale przygotowują pociąg, by dostawić świeże wojska, żołnierze nasi wysadzili tor na skrzyżowaniu szyn.

W półśnie, w półmarzeniu, patrzyliśmy, jak bledną i gasną kolejno gwiazdy. Wreszcie oblokło się niebo seledynową poświatą, lekkim różem zabarwiły się obłoki i podniósł się różany świt, a wraz z nim podniosła się w piersiach radość marzenia, że oto stoimy z bronią w rękę w obliczu śmiertelnego wroga, by dać mu godną wolnego człowieka odpowiedź: strzał za strzał, cięcie za cięcie.

Gdy rozwidniło się zupełnie, przez lornetki, a nawet gołym okiem, można było na okolicznych wzgórzach obserwować ruch rosyjskiej konnicy, a jedno-

cześnie od naszych patroli konnych, agentów i życzliwej ludności cywilnej zaczęły nadchodzić obfite raporty, że mamy przed sobą w SzydłóWKu, w odległości dwóch kilometrów, skonsygnowane dwa pułki kawaleryi, huzarów i kozaków, oraz brygadę straży pogranicznej. Z ruchów tych wojsk okazywało się wyraźnie, że wiążą nas i niepokoją na froncie, aby przeprowadzić ruch oskrzydający i otoczyć wokoło.

Miałem sposobność mieć chwilę rozmowy z szefem sztabu i, dowiedziawszy się o sytuacji, podziwiałem jego spokój, a nawet żartobliwy humor wobec tak niepomyślnych wieści. Około godziny 8-ej od strony SzydłóWka posunął się ku nam gęsty oddział tyralierski spieszzonej konnicy, ale na widok rozwijającej się naszej kompanii cofnął się tak szybko, że żołnierze zdolali wymienić zaledwie kilka strzałów. Podobny manewr zauważono ze strony wschodniej, tak, że trzeba było dawać baczenie na wszystkie trzy fronty. Wkrótce otrzymane od naszych patroli konnych meldunki zaświadczyły, że ruch okalający odbywa się w całej pełni: mianowicie w Niewachlowie i pod Szczuchowicami pojawiły się silne oddziały, złożone z dwóch szwadronów, także mniejwięcej zauważono w Domuszowicach i Zmiorzu.

Na liniach wzgórz, otaczających Kielce, snuły się sylwetki konnicy wroga, w odległości jednak niesięgalnej dla karabinowego strzału. Pomimo takiej przewagi szef sztabu postanowił przyjąć bój, by nie demoralizować przedwczesnym odwrotem młodych żołnierzy i ochrzcić ich ogniem. Całą jego troską stało się utrzymanie linii odwrotu przez Karczówkę, ku szosie chęcińskiej, i w tym celu wysłał na tę drogę całą rozporządzalną jazdę. Około 9-ej zjawił się oddział konny Sokoła w sile 46 koni.

Przyjawszy raport szef spytał: Czy konie zdrożone?

— Nie! — zabrzmiała odpowiedź.

— To możeby obywatele chcieli spróbować kozaków. Myśmy ich już próbowali!

I oddział został pchnięty na skrzydło, by utrzymać kontakt z wrogiem.

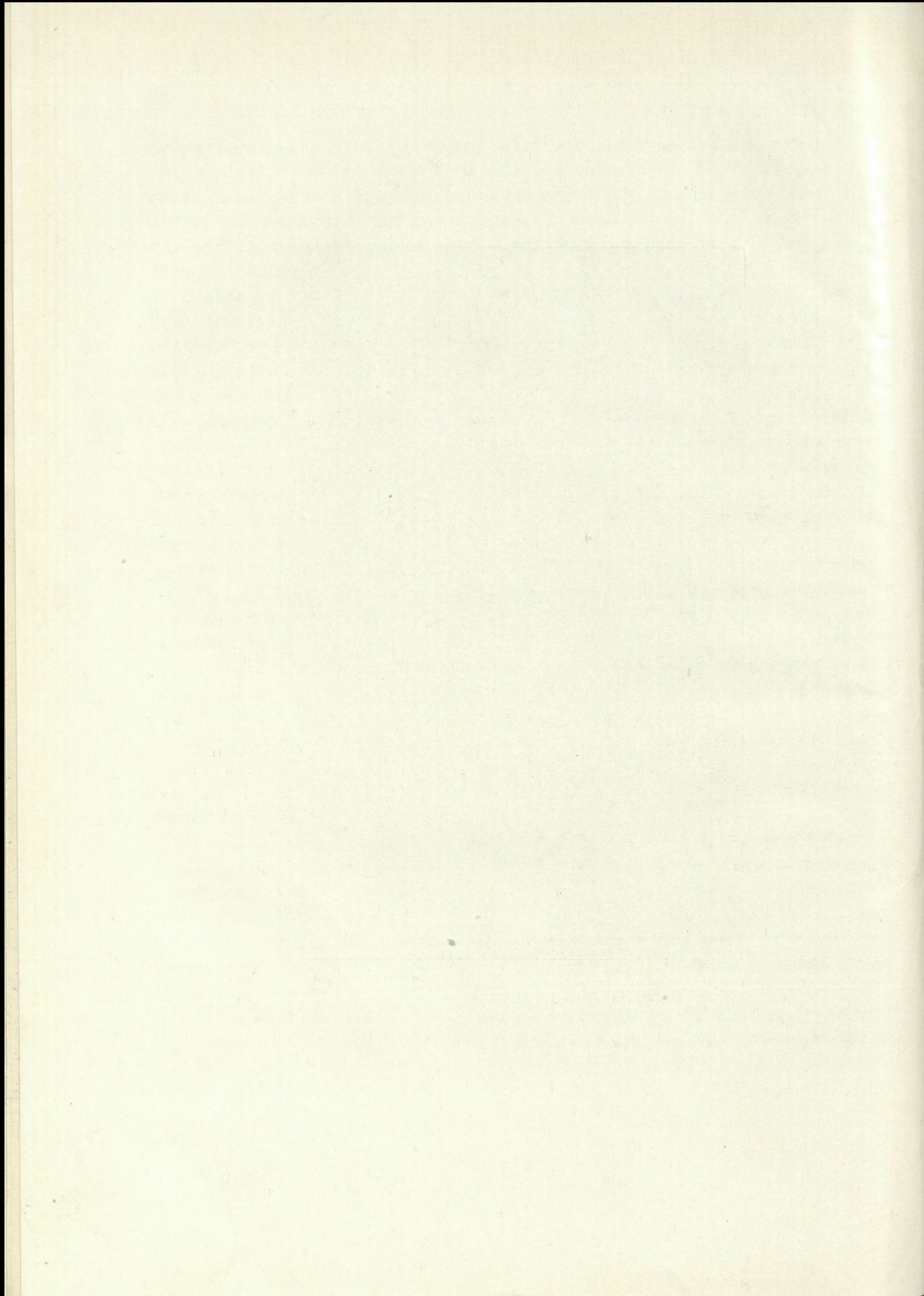
Tymczasem nadszedł meldunek, że na linii odwrotu pojawiły się kozackie patrole, że wróg zajmuje tyły, że koło się zaczyna zamykać i wreszcie najgroźniejszą wieść, że na wzgórzach SzydłóWka wróg ustawia baterię artyleryi. Jakoż wkrótce na grzbiecie wzgórza zauważono ruch, Moskale zupełnie swobodnie, bez maskowania, ustawiali działa, wiedzieli bowiem, że u nas armat niema.

Oddziały nasze stanęły pod bronią, oczekując na dalszy bieg wypadków i rozkazy i przysłuchując się strzałom, spowodowanym utarczkami naszych patroli.

Koło godziny 11 podniósł się gorący dymek — moment ciszy a potem huk. Raz wraz systematycznie spokojnie zaczęły bić armaty, — z początku na naszą



SZEF SZTABU KAZIMIERZ SOSNKOWSKI.



szczupłą linię tyralierską, wysuniętą w kierunku wschodnim, a gdy została granatami spędzona na pola, armaty zwróciły się ku folwarkowi.

Plutonami zaczęła przystrzeliwać się bateria. Pierwsze strzały padły o sto kroków przed nami, wznosząc olbrzymi słup dymu, wreszcie z jakimś żelaznym świergotem wpadł granat w sam środek podwórza, roztrzaskał wóz i rozerwał konia. I wówczas dopiero rozległy się donośne komendy, zarządzające odwrót. Po uspokojeniu popłoszonych koni ruszyły naprzód tabory, między którymi był wóz ze 160 kilogramami dynamitu, potem kolumna, na końcu sztab, jako ariergarda jeden pluton rozsypany w tyraliery. Tymczasem baterie grzmiały i grzmiały. Poryta ziemia, drobne gałązki drzew obsypywały ludzi, ale kule pękających szrapneli mijały nas szczęśliwie. Oddział w zupełnym porządku wciągnął się w lasy Karczówki, gdzie spodziewał się zastać kozaków i utworować drogę bagnetem.

Ale przerażeni mężną postawą oddziału kozacy pierzchli, więc, minąwszy Białogoń, wydostaliśmy się na szosę. Ogień armatni trwał ciągle, poczęto bowiem ostrzeliwać dworzec, gdzie zabarykadowali się strzelcy, by bronić się do ostatka. Skoro jednak granaty uszkodziły sąsiednie domy, cofnęli się, przejechali część drogi na drezynach i połączyli się z nami. Gdy byliśmy w pobliżu Chęcina, podniosły się kurzawy gorącego dymu, to płonął Czarnówek, z którego dziś pozostały jedynie opalone topole.

W bitwie dnia 12, 13, zginęło 38 ludzi ze strony wroga, my utraciliśmy 10 zabitych i rannych.

Pod Chęcinaми spotkaliśmy batalion naszych strzelców i komendanta głównego, który nad połączonymi siłami objął dowództwo. Wkrótce przybył austriacki oddział strzelców cyklistów i dwa szwadrony jazdy. Siły te stanęły na wzgórzach pod Chęcinaми, oczekując ofensywy ze strony Moskali, którą sygnalizowały meldunki patroli konnych. Gdy do wieczora to nie nastąpiło — wojska nasze cofnęły się na dogodniejszą pozycję na południowy prawy brzeg Nidy, by bronić mostów i przejścia przez rzekę. Następnego dnia, t. j. 14 sierpnia rano, rozmieszczenie naszych było następujące: centrum stanowiła kompania strzelców austriackich, prawe skrzydło jeden batalion naszych Strzelców, lewe drugi. Prócz tego detaszowano z sił naszych po jednej kompanii na skrajne skrzydła: na lewym do Żernik, na prawym do mostu kolejowego na Nidzie.

Nad ranem Moskale poczęli atakować, ale bardzo nieśmiało i po dwugodzinnej bitwie zostali odparci, przyczem z ręki strzelców padło ich dziewięciu, po naszej stronie jeden lekko ranny.

W tym czasie przybył do nas uciekinier z armii rosyjskiej, Polak, oficer huzarów, od którego dowiedzieliśmy się, że wojska rosyjskie były już nad Wisłą pod Solcem, ale na wieść o wkroczeniu Strzelców naszych otrzymali rozkaz

dążyć ku nam forsownym marszem, by nas zniszczyć, przyczem wyprawie tej nadano charakter ekspedycji karnej, tak, że pod Kielcami mieliśmy przeciwko sobie brygadę jazdy, brygadę straży pogranicznej, baterię armat, oraz zdążającą rezerwę 14 dywizji, a po zajęciu Kielc został wydany rozkaz: zdobyć „wo czto by to ni stało“ t. j. nieodzownie Jędrzejów i zrównać go z ziemią. Istotnie zagony kozackie ruszyły pod Jędrzejów, ale skończyło się tylko na drobnych utarczkach Strzelców naszych po okolicznych lasach. Jędrzejów został przez nas ocalony, a dn. 15 b. m. przybycie nowych sił naszych, oraz naciągająca sąsiednią szosą dywizja austriacka zmusiły Moskali do cofnięcia się na całej linii. W potyczkach pod Jędrzejowem padło z rąk strzelców 7 kozaków, my nie ponieśliśmy strat żadnych.

O naszej dotychczasowej działalności generał austriacki wyraził się publicznie, że Strzelcy sprawnością i męstwem niczem nie ustępują regularnej armii.

Od mieszkańców Kielc dowiedzieliśmy się, że oficerowie rosyjscy przerażeni są działalnością tej, jak nas nazywali, zanim poznali na własnej skórze — „bandy“, a odwrót nasz z pod Kielc podziwiają, jako mistrzostwo sztuki wojennej.

Ten pierwszy chrzest rwących granatów i pękających szrapneli, przyjęty ze spokojem, męstwem, rozżagwił płomienne serca naszych żołnierzy, a na ustach zastygł jeden wyraz: naprzód! To też z pewnym smutkiem przyjęty został rozkaz, wstrzymujący nasz pochód z powodu organizowania się w Krakowie Legionów. Ale smutek ten pierzchnął szybko, zaufanie bowiem wojsk do władzy naczelnej jest bezgraniczne. Dziś dumą i radością wzbierają dusze nasze, że nasze energiczne wystąpienie, strzały nasze, podniosły zdławioną niewolą piersi Narodu, że ocknął się zdrowy instynkt, zabiło żywym tętnem rycerskie serce Polski, że dłoń zniewolona, stargawszy pęta, zbroi się świetnym lśnieniem zwycięskiego miecza, a nasze stopy ozdobione dźwięczną ostrogą wstępują w bohaterские przodków strzemie.

Gustaw Daniłowski.

Czternastodniowa działalność Strzelców pod komendą Józefa Piłsudskiego.

„Według otrzymanych meldunków okazuje się, że kawalerya rosyjska przysuwa się ku nam od strony Opatowa. W razie ataku spada na nas obowiązek bronienia odcinka okopu północno-wschodniego“. Tak brzmiały ostatnie słowa odprawy, danej nam w pałacu gubernatorskim w Kielcach dnia 9/IX około godziny 8-mej wieczorem. Wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia, miewaliśmy bowiem poprzednich dni meldunki daleko groźniejsze i byliśmy pewni, że, zwłaszcza, o ile otrzymamy parę dział, potrafiemy się utrzymać w mieście, w którym okopaliśmy się i zagospodarowaliśmy, obierając ten punkt jako bazę operacyjną spodziewanego pochodu naprzód ku Warszawie.

Zasiedliśmy spokojnie do kolacyi, gdzie wkrótce zapanował ten wesoły niefrasobliwy nastrój, jaki cechuje nasz oddział, ten oddział, który pierwszy wszedł do Królestwa, już się bił i nauczył się kpić ze świszczących nad głowami granatów i pękających szrapneli. Dopiero około 10-tej ogarnęła nas pewna trwoga, rozeszła się bowiem głucha wieść, że z rozkazu, pochodzącego z Krakowa, mamy bez boju opuszczać Kielce, a ruch w gabinecie komendanta potwierdzał, że istotnie coś nowego zaszło. Wkrótce też zjawił się wezwany adjutant i oświadczył nam, że nie mamy kłaść się spać, gdyż o 4-tej rano następuje wymarsz. W półgodziny przyszedł inny rozkaz, że wyruszamy dopiero o 8-mej, możemy więc spać — oprócz dwóch adjutantów, którzy wyruszyli natychmiast, aby ściągnąć z pozycyi wyrzucone dalej, poza Kielce placówki. W rezultacie nazajutrz 10/XI dopiero około południa większa część oddziału pod komendą zastępcy komendanta, ob. Sosnkowskiego, wyruszyła wraz z oddziałem niemieckim, przy którym pełniła uciążliwą służbę obrony. Komendant, ob. Piłsudski, wymaszerował z resztą oddziału dopiero około drugiej, postanowił bowiem, jak się wyraził, z nagromadzonych zapasów ani jednego rzemyka nie pozostawić Moskalom. Dużo więc czasu zajęło poruszenie olbrzymiego taboru II-go rzędu, około sto pięćdziesiąt wozów

Z ciężkiem sercem, z uczuciem pewnej goryczy, żalu, a nawet wstydu opuszczaliśmy miasto, wiedząc, że, gdy wyjdziemy, zajmą je z powrotem Moskale.

Pociechę przyniosła wiadomość, że idziemy stoczyć bitwę, pociechę zresztą wątplą, bo według naszych wywiadów, które prawie nigdy nie zawodziły, spodziewaliśmy się najwyżej spotkać forpoczty jazdy rosyjskiej, które na nasz widok pierzchną, jak zwykle, i skończy się na krótkiej wymianie kilku strzałów. Szliśmy jednak posłusznie z Kielc prosto na południe i pod wieczór dotarliśmy do Morawicy. Marsz ten nie był zbyt ciężki. Dzień był jasny, nieco chłodny, pogodny, dobra droga, przestrzeń niezbyt wielka, zaledwie trzy mile.

W Morawicy było trochę pod względem noclegu niewygodnie. Odczuwaliśmy też brak chleba i, by go dostarczyć i nazajutrz przed świtem nakarmić żołnierzy, sprężysta nasza intendatura pracowała całą noc. Około piątej rano dzwignął się tabor, potem oddziały i odbył się szalony marsz 35-kilometrowy, z kilkugodzinnym zaledwie postojem w Chmielniku, w dzień prawie gorący, po złych drogach, w takiej kurzawie, że kolumny chwilami ginęły w żółtym pyłe i dawały znać o sobie tylko pieśnią, która prawie nie schodzi z ust strzelców i wrywa się ze szczególną brawurą w chwilach, gdy ciężko.

„Strzelzen singen“ dziwili się Niemcy, a czasem niepokoiłi się, że grzmot głosów może sprowadzić wroga. Pod wieczór jednak, o kilka kilometrów od Wielkich Grabek, gdzie miał nastąpić nocleg, pieśni zamarły. Znużone kolumny posuwały się już prawie machinalnie, w śmiertelnej ciszy, najostrzejsze konie powłoczyły nogami, a po przydrożnych rowach coraz częściej dawały się zauważyć rozciągnięte cienie leżących nieruchomo ludzi. „Obywatelu — odzywał się czasem któryś z przechodzących oficerów — wstańcie, jesteście tuż, tuż“, ale cień ani drgnął. Niewiadomo było, który śpi, który zemdlał, który może nie żyje. Kolumny jednak zatrzymywać niepodobna. O tych, co padli, zatroszczą się sanitariusze. Idziemy dalej. Ostatni kilometr wydaje się milą. Wreszcie stajemy u celu. Doktorzy na wozach z latarniami jadą zbierać maruderów. Komendant zarządza odprawę, odbiera meldunki od daleko patrolującej kawaleryi, jemy kolację i wkrótce wszyscy walą się, gdzie się da, jak snopy na sen. Czuwają jedynie straże, nie śpią i intendenci. Komendant pozwala wstać dopiero o szóstej, by ludzie wypoczęli. I to wystarcza.

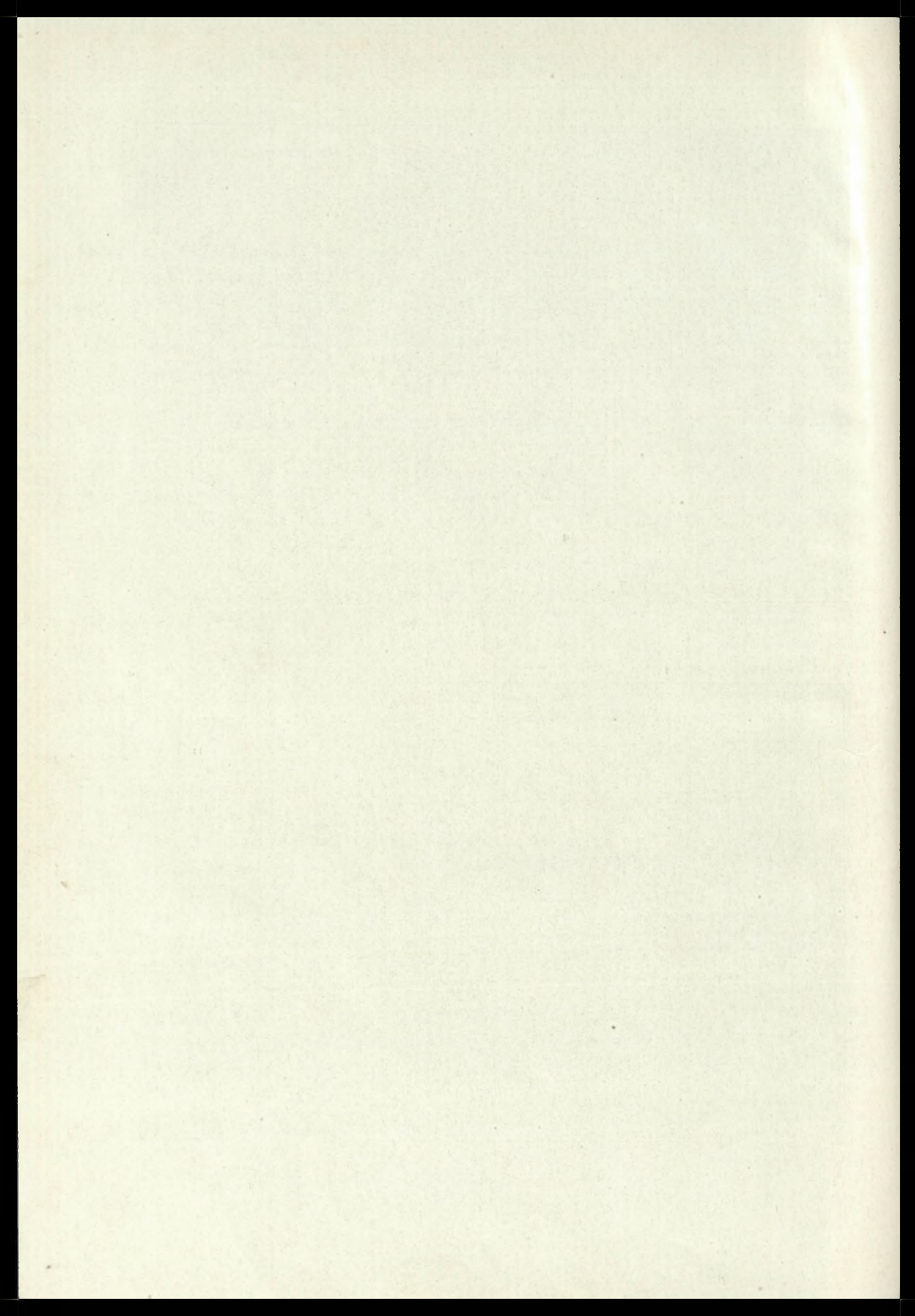
Nazajutrz wszyscy zdrowi, odświeżeni, stawiają się wesoło na zbiórke, i choć mży deszczyk i niebo całe zaciągnięte jest mgłą, wróżącą słotę, odzywają się radosne strzeleckie piosenki. Deszcz pada i pada, płaszczy niema, wielu w letnich mundurach, w rozciapanych butach, chłód przejmujący. Ale to nic, śpiewamy na rozgrzewkę. Mijamy drogi leśne, wreszcie zziębnięci i zmoczeni w nocy stajemy w Stopnicy. Gdzie pójdziemy dalej, nie wiemy. Może do Opatowa, może pod Połaniec, gdzie sygnalizują nam obecność wroga. Wkrótce jednak okazuje się, że idziemy na Pacanów. Przeciągają się miny. Deszcz wydaje się zjadliwszy, bo bliskość granicy trwoży. Ciężko jest bowiem, wtargnąwszy na sto



SZTAB PUŁKU.



BELINIACY.



kilkadziesiąt kilometrów w głąb Królestwa, znaleźć się znowu w Galicyi. W Pacanowie łączymy się z oddziałem, prowadzonym przez zastępcę komendanta i witamy się tak radośnie, jakbyśmy się wieki nie widzieli.

Po półgodzinnym postoju idziemy dalej. Do szybszego pochodu nagłą nas władze austriackie, meldujące, że most pod Szczucinem ma być natychmiast spalony. Komenda nasza wysyła kuryerów z wiadomościami, że wroga niema, że zarządzenie to jest przedwczesne — i most pozostaje. Mijamy strażę austriackie, spotykamy trochę naszych strzelców, od których dowiadujemy się, że mamy tu zmienić werndle na manlichery.

Bitwy, jak przypuszczaliśmy nie było, tylko drobna potyczka w Staszowie, gdzie zginął jeden nasz z konnego oddziału, rekrut z Kielc, Jan Jamroc, któremu rosyjski karabin ani razu nie wystrzelił; po rozcięciu ładunków okazało się, że niema w nich prochu. Jamroc został zabrany przez naszą jazdę i pochowany z honorami. Pod Beszową nasza ukryta placówka pierwszego batalionu przypuściła na sto kroków patrol z pięciu kozaków i dała salwę, od której jeden zginął, a drugi ranny, został porwany przez towarzyszy. Świetny nasz marsz z pod Kielc otrzymał wysokie pochwały komendy austriackiej w rozkazie dziennym do wojsk.

Dzień następny zajęło rozdawanie manlicherów, ciepłej bielizny i koców, które wreszcie nadeszły, a nazajutrz, t. j. 16/IX rano cały oddział ruszył do Kozłowa, otrzymawszy zlecenie ochrony Wisły od ujścia Dunajca do Strojcowca. Kawalerya nasza, wysłana naprzód, około południa minawszy Kozłów, posunęła się ku Borusowej, gdzie właśnie w tym czasie odbywała się przez Wisłę strzelanina pomiędzy posterunkiem żandarmeryi austriackiej a patrolem jazdy rosyjskiej. Właśnie, gdy nasz patrol przedni pod dowództwem plutonowego Orlicza mijał strzelających, kapral austriacki został ranny. Orlicz, odprowadziwszy swój patrol nieco w dół rzeki, wybrał z pośród swych ludzi czterech najlepszych pływaków, rozebrał się sam do naga, kazał to samo uczynić ludziom i tylko z karabinami w opasaniu ładownic rzucili się wpław przez Wisłę. Pierwszy dotarł do brzegu sam Orlicz, gdy nagle usłyszał za sobą krzyk tonącego kawalerzysty, którego w lodowatej wodzie schwycił skurcz nóg. Orlicz rzucił się powtórnie w nurty, wyciągnął towarzysza i natychmiast piątka zupełnie nagich, do szpiku kości zziębniętych ludzi ruszyła na wywiad na Nowy Korczyn.

W tej chwili strzelanina pomiędzy wojskiem austriackim i rosyjskiem ustała. Gdy patrol nasz podszedł pod Nowy Korczyn, ujrzał zupełnie sielski obraz — huzarów rosyjskich, piorących bieliznę. Orlicz kazał dać ognia, którym wywołał tak straszny popłoch, że dopiero po chwili opamiętania się naprzeciwko pięciu naszych wyruszyło trzydziestu spieszonych kawalerzystów z konną osłoną skrzydeł posuwającej się linii tyralierskiej.

Orlicz, lekko ranny w nogę, po wyczerpaniu wszystkich naboju cofnął się w nadbrzeżne łoży, kilku zaś Rosyan, a pomiędzy nimi dowodzący oficer, zostali strzałami wybici z szeregu.

Komendant nasz, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, kazał ukrytym w łożach dostawić łódkę ubranie i pozostać po drugiej stronie rzeki do wieczora, nocą bowiem postanowił owładnąć N. Korczynem. W tym celu wysłane zostały za Wisłę dwa oddziały. Jeden — pod dowództwem ob. Rydza — przeprowił się na głównym przewozie z rozkazem owładnięcia mostem na Nidzie, drugi — pod dowództwem ob. Norwida — przeprowił się niżej ujścia Nidy, by wyjść na północy kraniec Korczyna. Siły ogólne stanowiło czterystu kilkudziesięciu ludzi.

Marsz nocny odbył się bez przeszkód, gdyż, jak się okazało, nieprzyjaciel opuścił miasto i N. Korczyn bez wystrzału został zajęty przez nasze wojska.

Wobec tego, że następnego dnia 18/IX został do wojsk wydany ogólny rozkaz, że ochrona Wisły ma być traktowana nie jako czysta defenzywa, lecz prowadzona w duchu ofenzywy, komendant natychmiast rozkazał wzmocnienie oddziału w N. Korczynie (w Królestwie na lewym brzegu Wisły), doprowadzając go do liczby 600, a zważywszy na to, że obrona niskiego prawego brzegu nie mogła być prowadzona bez zajęcia części wznoszących się na lewym brzegu pagórków od Winiar do Opatowca, promem w Opatowcu przeprowił wraz z jazdą nowy oddział, który zajął Opatowiec-Winiary, jazda zaś ruszyła na północ prawym brzegiem Nidy.

Dzień 18 minął spokojnie. Dopiero pod wieczór usłyszano głuchy łoskot armatnich strzałów od wschodu, gdzie również podniosła się wkrótce szeroka, wydłużona łuna, a następnie przysły wieści o spaleniu mostu pod Szczucinem, o budowaniu jakoby jakiegoś drugiego mostu przez Rosyan w tych okolicach, wraz z nakazem niszczenia wszelkich przepraw, łódek i przewozów na Wisłę. Komendant nasz sprzeciwił się stanowczo ostatniemu rozporządzeniu, niweczącemu linię odwrotu naszym wojskom, znajdującym się na lewym brzegu Wisły i, wzięwszy sprawę na własną odpowiedzialność, przy istniejących środkach przewozu postawił swoje warty. Zanim jednak zdążono to uczynić, część przewozów została zniszczona, energiczne działanie naszych wojsk zdołało jednak uratować pomiędzy innymi statek Krystyna, który pod strzałami patroli kozackich nie chciał ruszyć ani w tył ani naprzód.

Spalenie mostu pod Szczucinem przez wojska austriackie, zarządzenie niszczenia przewozów mówiło wyraźnie, że Austriacy zrzekają się ofenzywy i nie myślą iść wcale na lewy brzeg Wisły. Tak się istotnie stało: na terenie Królestwa za Wisłą cały czas działały jedynie nasze strzeleckie oddziały, zupełnie izolowane od wojsk austriackich, pozostawione same sobie.

Nazajutrz 19 od rana zaczęły nadchodzić meldunki o posuwaniu się patroli nieprzyjacielskich z dwóch stron, od Buska i Stopnicy, a około 2-giej padły pierwsze strzały, które, wzmagając się, zmieniły się w potyczkę pod N. Korczynem. Moskale ostrzeliwali nas od Badrzychowic na drodze do Buska i od Ostrowiec na drodze do Stopnicy. Nasi, utrzymując nieprzyjaciela w ostatnim kierunku, w pierwszym prowadzili atak i, oczyściwszy drogę od wroga, który ściągnął do lasu, znajdującego się pomiędzy wspomnianymi drogami, ruszyli atakiem na las. Ale tu ulewą kul przywitały naszych karabiny maszynowe: dwa w lasu, dwa zaś około Grot Małych, bijące gradem przeciwko naszym, broniącym się w Wielkich Grotach. Karabiny te powstrzymały atak na las, przy czym 1 pluton, stanowiący lewe skrzydło, ucierpiał względnie dużo, straciwszy w jednej chwili 5 ludzi — 1 zabitego i 4 rannych.

Od tej chwili do zmierzchu pozycje stron walczących nie zmieniały się wcale. Dopiero pod wieczór ogień nieprzyjacielski począł słabnąć, z czego korzystając, nasi dokończyli ataku i weszli za cofającym się wrogiem do lasu. Tu przed frontem znaleźli kilku zabitych z V pułku huzarów.

Z bitwy tej okazało się, że nasi ludzie nie odczuwają tego denerwującego wpływu, jaki wywiera pierwsze spotkanie z tak morderczym narzędziem, jak karabin maszynowy, że Rosyanie naogół nie tego strzelają i muszą mieć wadliwe ładunki, gdyż kule z karabinów maszynowych z odległości 800 kroków nie przebijały ciała na wylot. Powierzchnowe te rany wywoływały wesołość wśród naszych strzelców, którzy po nałożeniu opatrunku okrwawieni biegli ochoczo z powrotem na linię.

Po zwycięsko stoczonej potyczce oddział nasz, wystawiwszy wzmocnione forpoczty, wrócił na noc do N. Korczyna. Jazda, wysłana w stronę Wiślicy, zniszczyła tam most, wzmacniany przez Rosyan, i, wypędziwszy kozaków, zajęła to miasteczko. Przy tym nagłym napadzie kawaleryi naszej na Wiślicę został ciężko ranny i wzięty do niewoli oficer-podesauł, dowodzący kozakami, który zmarł tegoż dnia. Ze znalezionych przy nim papierów dowiedzieliśmy się, że należy do piątego orenburskiego pułku kozaków, który na początku wojny został przetranszlokowany z Taszkientu do Warszawy. Z przebiegu bitwy i wiadomości obliczyliśmy, że tego dnia mieliśmy przeciwko sobie 5 szwadronów i sotnię, należące do różnych pułków piątej dywizyi armii i piątego pułku orenburskich kozaków.

Wieczne wiadomości zdawały się wskazywać, że atakujący nas nieprzyjaciel zatrzymał się na noc w Zagórzanach i Ostrowcach, umieszczając karabiny maszynowe i jaszczyki nieco w tyle, po drodze do Pacanowa. Wobec tego komendant nasz nakazał nocny atak świeżych sił, około 600 ludzi, które zostały przeprowadzone z prawego brzegu Wisły, by uderzyć na obozowisko rosyjskie,

przyczem 1 oddział otrzymał rozkaz zejść tyły nieprzyjacielskie od strony Wełnina.

W czarną noc, wśród siekącego deszczu i strasznego wichru, hulającego nad zbierającą Wisłą, sprawnie i cicho przeprawili się Strzelcy nasi koło Stroj-cowa i Pawłowa. Niestety, meldunki okazały się fałszywymi, gdyż Moskale cofnęli się dalej na północ i nocowali w Solcu i za Solcem, tak że, gdy nasi doszli do wskazanych punktów, spotkali tylko posterunki kozackie, które pierzchnęły. Zmęczone nieprzespaną nocą i nocnym marszem po błocie i wśród słoty oddziały nasze zatrzymały się na krótki odpoczynek i tylko patrole poszły za uciekającymi kozakami. O parę jednak kilometrów musiały się cofnąć, napotkawszy silniejszy oddział. Rozległy się gęste strzały karabinowe, a około 10-tej rano 20-go zaczęły grać nieprzyjacielskie armaty.

Pozbawione artylerii oddziały nasze w Zagórze i Ostrowcu rozpoczęły powolny odwrót ku N. Korczynowi. Dzięki zręcznemu manewrowi komendanta batalionu Fleszara, który zrobił widoczne dla nieprzyjaciela poruszenie w kierunku południowym, prostopadle ku Wiśle, ogień armatni nie zaszkodził nam wcale, gdyż Rosyane gwałtownie poczeli ostrzeliwać tę drogę, pozostawiając długo w spokoju istotny kierunek naszego odwrotu na N. Korczyn, dokąd o godzinie 1-ej ściągnęły oddziały nasze, należące do nocnej wyprawy, a w ślad za nimi poczęła się zbliżać nawała nieprzyjacielska z działami i karabinami maszynowymi. Tym razem atak był prowadzony wyłącznie od strony Stopnicy, tak że oddziały nasze, ochraniające drogę na Busk, nie miały przed sobą sił wroga.

Bez poparcia artylerii niepodobniestwem było utrzymać się w N. Korczynie, gdzie w ciasnych uliczkach miasteczka pociski nieprzyjacielskie mogłyby spowodować zbyt wielkie straty, to też komendant polecił pod wieczór opuścić N. Korczyn. Część oddziału kazał przeprowadzić na prawą stronę Wisły koło wsi Borusowej, a innym zająć front na wzgórzach Winiary — Opatowiec. Dopiero przy naszym odwróceniu zaczęły grać stojące za Wisłą armaty austriackie, ścigając na siebie część nieprzyjacielskiego ognia. Odwrót odbył się w zupełnym porządku i spokoju, pomimo że podczas przejścia wąskiego mostu na Nidzie granaty pękały tuż obok, w wodzie. Od artylerii dnia tego strat nie mieliśmy żadnych. Nie doliczyliśmy się tylko 8 ludzi, którzy nazajutrz, dzięki życzliwej opiece miejscowej ludności, dotarli szczęśliwie do swoich oddziałów i, jak się okazało, spędzili noc w sąsiedztwie kozaków.

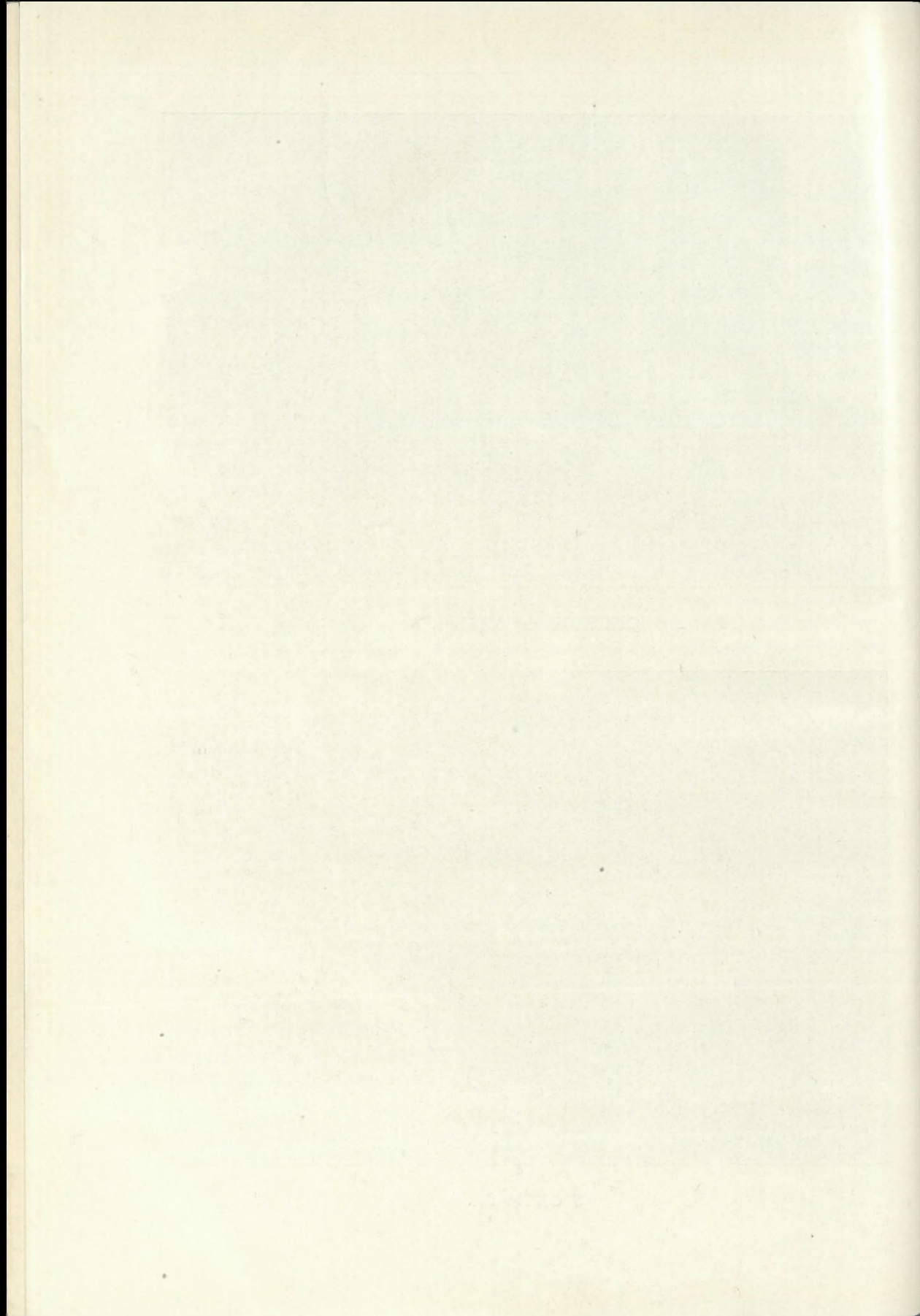
W tej bitwie mieliśmy do czynienia z 8 secinami kozaków piątej dywizji kawalerii i piątego pułku kozaków orenburskich, których popierały dwie baterie armat i 4 karabiny maszynowe. Tegoż dnia 1 pluton kawalerii naszej, wysłany na wywiady za Wiślicę w stronę Buska, skutkiem zdrady chłopów wpadł w zasadzkę i, otoczony przez trzy szwadrony jazdy, musiał przebijać się białą



OFICEROWIE KAWALERYI.



W OKOPACH.



bronią, przyczem jeden z naszych dostał się do niewoli, a drugi, Stanisław Lorenec, położywszy trupem kilku Moskali, ostatnią kulą odebrał sobie życie. W tym czasie po drugiej stronie Nidy reszta szwadronu zwycięsko potykała się z rosyjską jazdą, odpierając ją w stronę lasu koło Chrobrza i zadając ciężkie straty. W rezultacie Rosyanie poszli w rozsypkę, straciwszy 10 zabitych i rannych oraz jednego wziętego do niewoli.

Dzień 21 i 22 minął względnie spokojnie, wśród drobnych utarczek wyrzuczonego naprzód oddziału naszej kawaleryi ze zbliżającą się z coraz większą natarczywością jazdą rosyjską, oraz wymiany kilkunastu strzałów armatnich przez Wisłę pomiędzy artylerią austriacką i rosyjską. Front naszego oddziału, znajdującego się po lewej stronie Wisły, stał się tak nienormalnie długi, że, zwłaszcza wobec znużenia żołnierzy, zachodziła nieustanna obawa przerwania przez nieprzyjaciela tej wąskiej linii forpocztowej, w którą właściwie zmienił się cały oddział. Pomimo to komendant postanowił raz jeszcze odeprzeć nieprzyjaciela za pomocą nocnego natarcia. Jako punkt napadu wybrano Szczytniki, miejsce najsilniejszego posterunku kawaleryi rosyjskiej, na lewym brzegu Nidy. Atak, prowadzony pod dowództwem naczelnika jazdy naszej, obywatela Beliny, powiódł się najzupełniej. Skradając się cicho, otulony mgłą i siatką mżącego deszczu, 23 o mętym świetle oddział piechoty naszej i spieszonej kawaleryi wtargnął ze wszystkich stron do Szczytnik i wyciął niemal w pień cały oddział moskiewski. Z 50 kozaków i 4 dragonów 14 pułku zaledwie 8 zdołało się ocalić, uciekając oklep na koniach. Z naszej strony padł po bohaterskiej walce podoficer Janusz Bernatowicz, który jako prawy Polak przeszedł około Kielc z szeregów armii carskiej do wojska . Prócz niego mieliśmy 2 rannych.

Wobec szybko nadciągających z różnych stron przeważających sił nieprzyjacielskich nie byliśmy w stanie zabrać całej zdobyczy, zdołaliśmy pochwytać 2 konie, 8 siodeł, kilkanaście karabinów, 3 jeńców, z których 2 byli ranni, 1 zdrów zupełnie z piątego pułku kozaków i 14 pułku dragonów, oraz papiery zabitego oficera 5 pułku kozaków dońskich. Z wywiadów i z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się o gromadzeniu się wielkich sił nieprzyjacielskich w Busku i o naprawie zepsutego przez nas mostu w Wiślicy.

Wobec wielkiego znużenia jazdy naszej, która przez kilka dni stawiała śmiało czoło przeważającym siłom, rozkazano jej cofnąć się do najmniej zagrożonego punktu — do dworu w Czarkowej, wślawionego pamiątkami kilkudniowego pobytu Kościuszki. Ale już około godziny drugiej po południu Rosyanie z dwóch stron, z za Nidy i od Wiślicy uderzyli całą siłą na nasze oddziały, będące i tego dnia, i poprzednich, i później jedynymi siłami, działającymi w Królestwie na lewym brzegu Wisły. Tym razem atak Rosyan, jakby przez zemstę za Szczytniki, był prowadzony ze wściekłą furją: armaty i karabiny maszynowe

grzmiały przez kilka godzin bez przerwy. Najbardziej zagrożone zostały wojska nasze, stojące we wsi Ksany i okolicy. Specjalnie 1 pluton obywateli. Młota, wysunięty w stronę Czarkowej, został osaczony przez nieprzyjaciela i w bohater-skiej obronie wytrwał, pomimo ogromnych strat, do wieczora, nie ustępując ani piędy ziemi. Ostrzeliwany z flanku przez karabiny maszynowe, atakowany z frontu przez dwie seceiny kozaków, którzy z dzikimi wrzaskami rzucali się napród, pluton ten celnym i szybkim ogniem przez dwie godziny odpierał atak, a wszyscy ranni do ostatka brali udział w boju.

Po nadejściu pomocy najbliższe trupy kozackie znaleziono w odległości 100 kroków. Wysłana pomoc posuwała się z wielką trudnością, gdyż artyleria zasypywała szrapnelami i granatami całą przestrzeń pomiędzy plutonem a ciągnącymi na odsiecz siłami. Jednocześnie inne siły nieprzyjacielskie z baterią armat próbowały ataku przez las w Chrustowicach na tyły całego naszego oddziału w Winiarach i Chwalibogowicach. Szczególnie ciężką była chwila, gdy spalone granatami Ksany musiały być opuszczone przez stojących tam strzelców, skutkiem czego całe lewe skrzydło zostało odsłonięte. Wówczas komendant postanowił rzucić resztę sił, stojących jeszcze na prawym brzegu Wisły, ale szło to bardzo powoli. W krytycznej chwili oddziały nasze zaledwie podciągały ku przeprawie w Opatowcu, 6 godzin bowiem trwało zluzowanie ich przez wojska austriackie, mające zająć ich miejsce przy ochronie Wisły.

Położenie wydawało się prawie rozpaczliwe, tem bardziej, że Wisła i Dunajec wzbierały z każdą sekundą i wreszcie rozlały się jakby w zatokę morską, wzburzoną szarpiącymi się wirami spienionej wody. Pierwsze przeprowadzone oddziały zostały pchnięte w stronę lasku chrustowickiego, lecz nieprzyjaciel już się cofał ku Wiślicy, a wkrótce zapadający mrok, nadrzeczne mgły, a wreszcie noc ukryły słabe liczebnie i wyczerpane nasze siły od wzroku wroga i jego pocisków.

Wobec wyznaczenia na dzień następny 24/IX zaszczytnej roli awangardy, komendant nasz, pomimo znużenia ludzi i niesłychanie trudnych warunków przeprowadzenia, zarządził w nocy przerwienie wszystkich wojsk naszych na lewy brzeg Wisły i zajęcie odpowiednich pozycji. O trudnościach przeprowadzenia można sądzić z tego, że przejazd na drugą stronę na zdefektowanych promach trwał 3 kwadransy, grożąc każdej chwili, że prom zostanie porwany przez szalejący prąd w dół Wisły pod ogień posterunków nieprzyjacielskich.

O godzinie 1-iej w nocy ostatni nasi żołnierze znaleźli się na lewym brzegu Wisły, a w godzinę potem komendant został zwolniony z oczekujących go nazajutrz obowiązków, gdyż wobec powodzi zamierzone operacje zostały wstrzymane.

Wobec tego komendant, nie chcąc narażać zmęczonego i zupełnie izolowanego oddziału na prawdopodobną nową bitwę o świcie ze wzburzoną Wisłą za plecami, zarządził przeprawę z powrotem. Przy pomocy saperów austriackich, którzy przybyli z pontonami, oddział nasz, zabierając wszystkie swe bagaże, zabitych i rannych, o godzinie 11-ej zrana znalazł się w Gręboszowie na dobrze zasłużonym spoczynku. W Gręboszowie pochowano z honorami poległych śmiercią waleczną towarzyszy.

Lista strat w ciągu tych kilku dni boju była następująca:

Zabici: W dniu 19 pod N. Korczynem: Piecieszyński, pseudonim Zbych, z Warszawy, szeregowiec; Edmund Lasarini de Colonna z Warszawy, podoficer; Henryk Wiszor z Przemyśla, szeregowiec.

W dniu 21 w Kobylnikach: Stanisław Lorenc, szeregowiec oddziału konnego z Krakowa.

W dniu 23 pod Szczytnikami i w innych bitwach: Janusz Bernatowicz z Królestwa, oficer jazdy; Tadeusz Grabiński z Królestwa, podoficer; Aleksander Sam z Królestwa, podoficer; Walenty Niemczyk z Komorowic, pow. Biała, podoficer; Maryan Nowak z Jarosławia, podoficer; Adam Pawłowski i Jaskółkowski z powiatu Nowy Sącz, szeregowcy; Zenon Malinka z Podhajec, szeregowiec; Aleksander Kolusiak z Bochni, szeregowiec; Maryan Hillebrand ze Stanisławowa, szeregowiec; Wincenty Kulpa, szeregowiec; Stanisław Rokosz z Krakowa, szeregowiec. — Zginął bez wieści Roman Milka, szeregowiec.

Ranni: 19-go pod N. Korczynem: Ferencowicz Władysław, Malinowski Jan, Trembiński Jan — wszyscy z Królestwa; Dreszer Gustaw, plutonowy oddziału konnego (bardzo lekko).

20-go również pod N. Korczynem: Dudziak Jan i Gut Maryan, podoficerowie; Łozia, szeregowiec.

23-go pod Czarkową; Filuk Wiktor z Kołomyi, Machowicki Ludwik z Bochni, Bojanowski Kazimierz z Tarnopola, Wirski Jan z Olkusza, Szczudło Józef z Tarnopola, Radek Mieczysław i Pająk Kazimierz z Królestwa.

Niewątpliwie żal nam serdeczny poległych dzielnych towarzyszy broni, bolą nas cierpienia rannych. Ale jeżeli spojrzymy na straty, poniesione w kilkudniowym boju z przewagą liczebną wroga, zbrojnego w dodatku w baterie dział i mordercze karabiny maszynowe, z punktu wojskowego, to liczba 19 zabitych i 14 rannych jest zdumiewająco mała i stwierdza łacińskie przysłowie: *Audaces fortuna iuvat* — mężnym los sprzyja.

Gustaw Daniłowski.

L a s k i.

Na ciężkie próby wystawiona była wojenna sprawność naszego oddziału w miesiącu października. Po tygodniu samodzielnych bojów korceżyńskich, które wstępem były do drugiej wielkiej ofensywy na Królestwo, ruszyliśmy w związku z krakowskim korpusem (armii gen. Dankła) wzdłuż Wisły na wschód.

Jak najspieszniej, za wszelką cenę trzeba było słabe stosunkowo (parę pułków strzeleckich) siły nieprzyjaciela doprzeć za Sandomierz — w zakręt rzeki. „Zwycięstwo leżało w nogach“ — mówiły rozkazy dzienne.

Piękne, słoneczne dni sierpnia minęły już dawno. Ciągłe deszcze zamieniły bezdroża południa Królestwa w beznadziejne trzęsawiska; szczególnie złe, ciężkie drogi były w Sandomierszczyźnie.

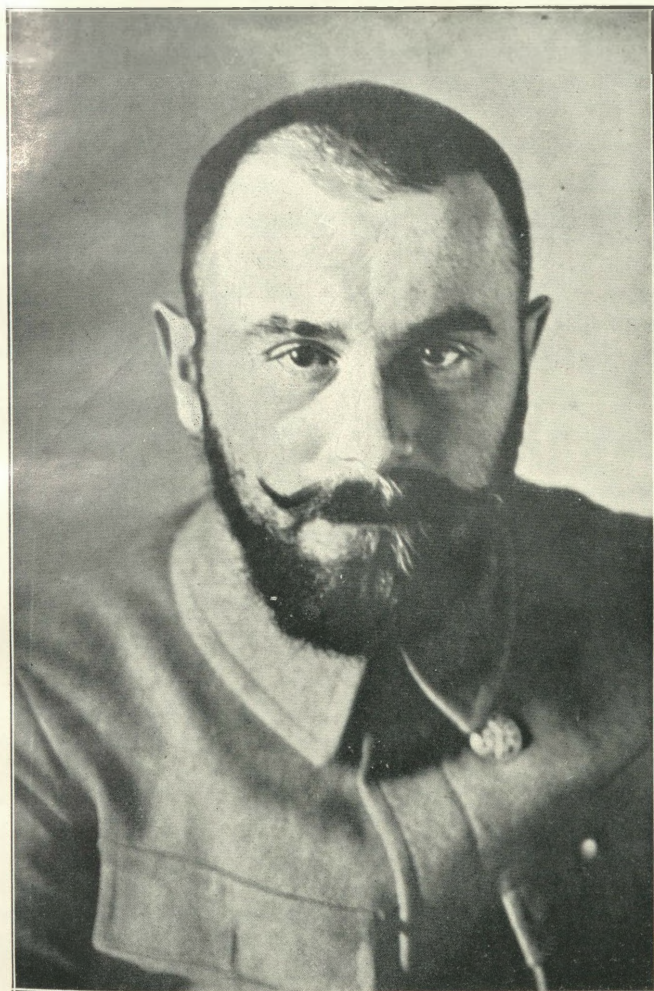
Ludzie chorowali, nie wytrzymując forsownych, nieraz 40 kilometrów przenoszących marszów. Konie padały dziesiątkami; tabory, grzęznąc po osie w gęstej, lepkiej masie błót sandomierskich, nie dochodziły prawie nigdy na termin, dowóz żywności był niemożliwy; okolica wyniszczona wojną wykarmić wielkich mas wojska nie mogła.

Nic dziwnego, że przy słabszym fizycznie materiale, przy nędznym wyekwipowaniu, braku kucheń polowych, — tem silniej pochód odbijał się na naszym oddziale; topniał z dnia na dzień; dziesiątki maroderów i chorych zostawały w tyle.

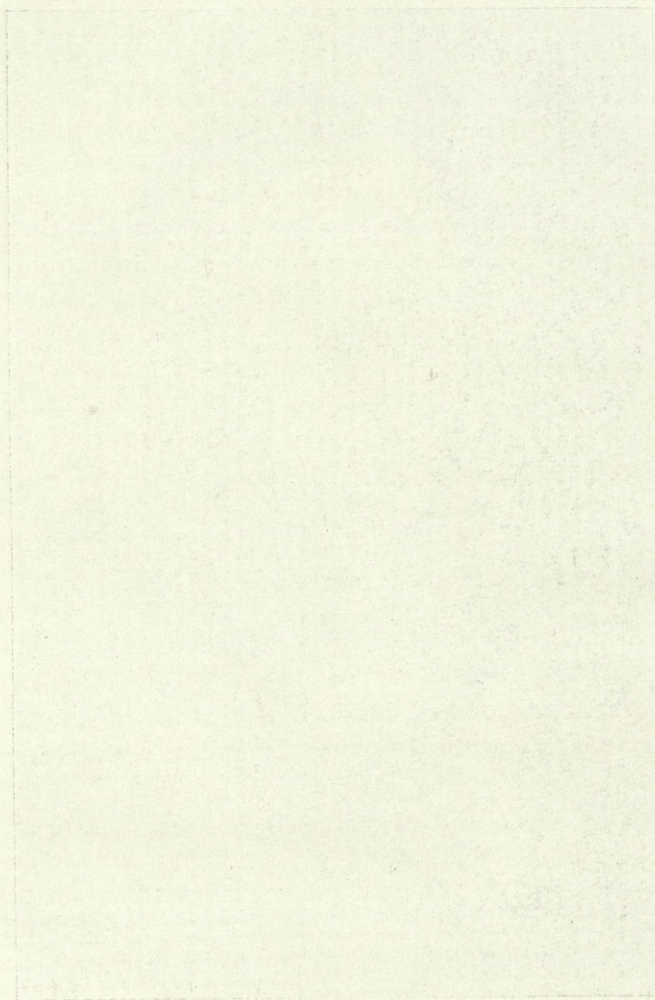
Jednak szybki pochód naprzód, ślady klęski i panicznej nieraz ucieczki Moskali — podtrzymywały ducha. Budziły się znów nadzieje na jaśniejszą może przyszłość. Optymiści podnieśli głowy: coraz żywiej mówiło się o pochodzie ku Warszawie, o przyszłym, bliskim już może rozroście siły polskiej.

Mimo zmęczenia pochodem, niejeden z nas z mapą w ręku śledził gorączkowo dyspozycję na marsz następny. Przypuszczeniom, dyskusyom, dokąd pójdziemy, nie było końca.

Zwracamy wreszcie z pod Sandomierza ku północy. Cel zdaje się być bliski. Wielu wyobraźnia drogę mury, upragnioną sylwetkę Warszawy rysuje. Zamracza na chwilę pogodny ten nastrój detaszowanie kawaleryi naszej (pod Beliną rotm.)



EDWARD ŚMIGŁY-RYDZ, KOMENDANT I. PUŁKU.



i baonu II-go (pod Norwidem majorem) pod Warszawę. Nasuwało się przypuszczenie, że tylko ci mają być na tamtym froncie użyci.

Lecz nie, w parę dni i my podsuwamy się pod Radom. Zapał się z dnia na dzień zwiększa; naraz znów detaszowanie IV-go baonu (pod kap. Wyrwą) — reszta zwrot na wschód. Jasnym się staje — całość rozbita — pozostali zajmą gdzieś dział w wielkim froncie zbliżającej się walki, może łamanie fortecy. Trzeba przerwać nić marzeń i z żołnierską zawziętością spojrzeć w rzeczywistość.

Idziemy ku Zwoleniowi. Grupa nasza, choć nieliczna, nie rozplywa się wśród ludzkich mas, które tu spotykamy.

Zawód szybko ukryty, przygnębienie przełamane. Humor na długo prysnąć nie może i znów, zda się, bez troski, płynie po szeregach pieśń żołnierska.

Od Wisły z pod Dębina coraz silniejszy pomruk dział. Niemcy łamią fortecę. Długie bez końca łańcuchy wozów z rannymi.

Czekamy na naszą kolej szturm. Śmierć nie straszna, dziwnie tylko myśleć, że jeden taki blizki może dzień i parę naszych batalioników — to ognisko wielkich marzeń, te ramy, co miały ująć w karby wojskowej organizacyi budzący się do walki naród — zniszczają jakby bez celu.

Na tle tych ciemnych dni — jedna z miłszych chwil — nastrój chłopów w pewnej wsi pod Zwoleniem. Nie doszły tu jeszcze wieści — o „strzelcach krakowskich, co Kielce zdobyli“. A jednak patrzymy wzruszeni na głębokie rozrzewnienie, jakieś silne, serdeczne zajęcie się nami.

Wśród takiego nastroju nadchodził dzień pierwszej naszej wielkiej bitwy.

Armia gen. Dankla w tym czasie ściągała ku północy pod Zwoleń. Nasz korpus przysłał od Wisły południowe skrzydło wojsk niemieckich, szturmujących Dęblin.

Sytuacja ogólna nie pozwoliła na dokończenie tych szturmów. Cofnięto Niemców — za nimi nasz korpus odchodzi nieco na zachód ku Radomiowi, po to jednak, by już następnego dnia wykonać niespodziewany ruch wsteczny i spotkać wychodzące z fortecy wojska rosyjskie.

Niby szpica ataku miał ruszyć naprzód nasz oddział.

Już podczas pozornego odwrotu dn. 21/X 1 kompania III baonu (dawna „kadrówka“) została w tyle dla przeprowadzenia wywiadu. Stwierdzono, że nieprzyjaciel posuwa się od Dębina dużemi siłami, postępując za cofającymi się wojskami niemieckimi.

Zadaniem oddziału naszego na 22/X było nocnym marszem przesunąć się kilka kilometrów z powrotem i, odrzucając czołowe oddziały rosyjskie, zająć korzystną dla nas pozycję i za wszelką cenę trzymając, przysłonić przemarsz ku niej niektórych części krakowskiego korpusu poprzez teren bagnisty i niebezpieczny.

Odpowiedzialne to zadanie spełniły przedewszystkiem baony V. kap. Karasiewicza i VI. kap. Herwina, wyrzucając z za Suskiej Woli Moskali na linię Trupień, Kamyk. Przez kilka godzin, aż do podejścia większych sił, wytrzymujemy nacisk nieprzyjaciela. W ten sposób pierwsi rozpoczęliśmy jeden z większych bojów obecnej wojny.

Cienką i wydłużoną naszą linię wzmacniają całe bataliony. Przeciwnik tymczasem podciąga większe siły. Bój potężnieje z każdą chwilą. Przemawia wkrótce i artylerya. Posuwamy się rażno naprzód.

Dalszy nasz udział określony tem, że, po skoncentrowaniu się, zając mamy część frontu między dwiema dywizjami korpusu N. N. obr. kraj. i N. N. piechoty. Nasza dywizya N. obr. krajowej postępuje szybko naprzód. Żeby nie zostać w tyle, wysłała Komendant to, co było pod ręką, bataliony, które dotąd stały w rezerwie. Tymczasem zbiorą się te, co o świcie bój rozpoczęły. Jest słoneczne południe jesienne; bój wre w lesie. Odgłosy walki powoli przesuwają się naprzód.

Pierwszy idzie w ogień III. batalion, stara gwardya, dawne kadrowe kompanie pod majorem Śmigłym.

Komendant sam odprowadza. Wskazuje ręką kierunek na las. Odeszli. Po chwili zresztą posuwamy się w las ku linii ognia, na najbliższe strzały. Bój leśny z jego niespodziankami zmienił nieco nakreślony pierwotnie plan. Okazało się zbyt dalsze wprowadzanie naszych sił do ognia. Zostajemy w rezerwie w lesie. Dla bezpośredniej obserwacji boju podchodzi Komendant bliżej na skraj. Tysiąc kroków przed nami ciągnie się długa wieś Laski. W paru miejscach pożary. Poprzez dym — ciągłe błyski pękających pocisków. Właśnie wyrzucono z całej wsi Moskali. Widać linię tuż za wsią — po pod stodołami — najbliższe rezerwy, amunicya, ruch sanitaryuszy. Artylerya pracuje bez przerwy — baterye nasze niedaleko na skraju lasu. Wkrótce też mamy sposobność ściągnąć na siebie pierwszy szrapnel w tej bitwie. Z gorączką śledzimy walkę. Przypomniały się długie godziny studyów wojennych, naszej pracy pokojowej, obudził się instynkt żołnierski, nasz zakonspirowany stary zawód. Wielki bój na jawie! Z jakimś zachwytem, żrenicą rozszerzoną, chciwie chwyta się każdy szczegół bitwy. Tymczasem szczęśliwie ci z III. baonu już dziś okrywają się sławą. Wysłany wcześniej baon ten wyszedł na prawe skrzydło naszej dywizyi właśnie w chwili, gdy przeciwnik, korzystając z osłony lasu na wschód od wsi Anielin, wykonywał głęboki ruch oskrzydlający.

Prawe skrzydło frontu miało być przedłużone przez inną dywizję, która spóźniła się o parę godzin.

Zrozumiawszy groźbę sytuacji, major Śmigły, pomimo, że ma przeważające siły przed sobą, osłaniając się też lasem, zwraca w zagrożony punkt swe kompanie.

Batalion nasz, z zasady mniej liczny od normalnych w armii, osłabiony pochodami, miał tu cały pułk przed sobą.

Pierwsza uderza w skrzydło wysuniętego ku nam baonu kompania por. Tessaro (Zosika). Po krótkim, gwałtownym, niespodziewanym dla przeciwnika ogniu, robi on to, co jedynie w tych warunkach leśnego boju dobre być mogło, rzuca się na bagnety. Zaskoczeni Moskale cofają się, wyrzekając się swego manewru. Całą siłą zwracają front na nas. Idzie w bój kompania następna por. Wieczorkiewicza (Scaewoli) dla przedłużenia frontu w prawo, wreszcie komp. por. Burhardta (Bukackiego) — ostatnie rezerwy.

Rosyanie angażują coraz większe siły. Cel został osiągnięty — manewr rosyjski na skrzydło ** dywizji obr. kr. niemal w chwili, gdy miał być do końca doprowadzony — sparaliżowany, lecz batalion, wciągnięty w bój, znalazł się w ciężkich opałach. Ustąpić jednakże nie można.

To też, uparcie broniąc się w miejscu, parokrotnie idąc na bagnety, ze świetnym rezultatem, bo ogółem wzięto do 200 jeńców, wytrzymuje tu major Śmigły parę godzin do nadejścia spóźnionych większych sił, które go luzują. Krwawy leśny bój, gdzie parę godzin niemal ciągle pierś w pierś walczone — kosztował nas kilkudziesięciu rannych i zabitych. Tu, w ataku na bagnety, padł ciężko ranny por. Tessaro (Zosik), zabici ppor. Błażejewicz i Wolski. Straty nieprzyjaciela parokrotnie większe.

W następnym dniu koncentruje się oddział nasz we wsi Laski jako rezerwa dywizyjna. Wieś ostrzeliwana z nadzwyczajną precyzją. Deszcz żelaza. Atak od od rana powoli posuwał się tuż za wsią. Wreszcie Moskale zajęli wygodną pozycję na wzgórzach. Wyczerpane półtoradniowym bez przerwy bojem, zasypywane na przestrzeni zupełnie odkrytej pociskami artylerii, bardzo silnej na tym odcinku — pułki naszej dywizji przywarły do ziemi i koło południa atak stanął.

Zwrócono się do nas; wyczuliśmy pewne zakłopotanie, czy wojsko, nieregularne przecież, potrafi zdobyć zimną krew, czy wytrzyma to piekło ognia. Trzeba było, bez względu na straty, dopływem świeżych sił podnieść ducha w pierwszej linii i pociągnąć ją swoim zapalem naprzód. Wybór Komendanta padł na batalion I., dowodzony przez kap. Żymirskiego. Z wybitnym spokojem trwał on w silnym ogniu, którym przeciwnik, odgadując we wsi i po za nią ukryte rezerwy, od pół dnia nas zasypywał. Każdy ruch we wsi natychmiast przez Moskale zauważony i z podziwu godną celnością przez artylerię włączany w ziemię.

Batalion I-szy iść ma do ataku. Pluton za plutonem, za chatami, stodołami przemykać się ku wschodnim krańcom wsi poczyna. Komendant znów chłopców swoich w bój sam odprowadza. Już Moskale ruch spostrzegli. Nawałnica szrapneli. Nic to! Batalion jak lawina sunie nieubłaganie. Za wsią pole czyste,

wzgórza moskiewskie. U ostatniej chałupy Komendant stoi. Troska w oczach jakby myśl, czy nie załamię się ten pęd nieugięty? A chłopcom, co i tu radziby śpiewać, jeno że zgrzyt i zawrodożenie pocisków głuży wszystko, gdy podejda, twarze ścina na chwilę powaga, zawziętość. Komendantowi w oczy raz jeszcze każdy patrzy — zda się ślub tajemny, przyrzeczenie składa.

Gdzieś blisko pęka szrapnel, strugą żelazną sypie na nas. Jeden pocisk trafia w głowę Komendanta. Zachwiał się, lecz nic — kontuzya tylko.

Batalion z poza osłon rozwija się na pole — szybki, zwarty musi być ruch — nie można do szarej roli się przytulić — w brudę zaryć. Poszli chłopcy z brawurą. Ogień się wściekł, wszystko na nich żelazem sypie — artylerya, maszynowe karabiny — piechota. Linia za linią, plutonami całymi — długimi skokami — prą ku wzgórzom. Na chwilę do ziemi to tu, to tam przypadną i wciąż dalej, mimo strat. A gęsto chłopcy padają. Tu Żymirski 7-miu kulami zwalony, dalej — jego adjutant, Różycki podporucznik. Komendę bierze Grudziński por. — na chwilę tylko, już w piachu ranny leży —; po nim Kuba-Bojarski por., wąsik pogładziwszy, od swej kompanii na czoło batalionu się wysuwa.

Impetem swym porywają nasi cały pułk w linii leżący, w ziemię wtłoczony. Mijają go. Prą naprzód. Linia cała za nimi. Wzgórza w naszych ręku. Sąsiedni, z lewej, pułk porwał się jednocześnie. Moskale walki na białą broń nie przyjęli — pierzchli przed bagnetem. Zapada zmrok. Umacniamy się na pozycjach. Teraz już bez strat można linię zasilić. Suną V. Karasiewicza kap. i VI Herwina kap. baony.

Mimo zmęczenia, kontuzyi, idzie Komendant ku okopom. Obchodzi je, nakazuje zimną zachować krew, nie strzelać.

Przewidywał, że szarpnięte bojem nerwy w nocy grać poczną.

I słusznie, skoro zmrok zapadł, u sąsiadów to tu, to ówdzie strzał za strzałem. Wyrzucony z pozycji wróg przywarował niedaleko, z chwili na chwilę czekano odwetu kontrataku; każdy szelest, cień wiał grozą. Wyobraźnia pracuje, oczy szeregi, kolumny bagnetem najeżone widzą — uszy sapanie biegnących do szturmego słyszą — ręce mimowoli karabin do strzału podnoszą. I często linia cała dała się porwać — grzmiała ogniem gwałtownym. U nas spokój. Z obu stron i u Moskali ogień trwał i trwał, w jednostajny, ciągły gwałt przechodzący, nasz dział okopów pograżony w milczeniu głuchem. Rzecz nie do wiary — dzieci niemal, a stare wiarusy o nerwach z żelaza.

Wysuwano macki-patrole daleko ku okopom moskiewskim. Ufano ich czujności. Oficerowie, nakazu pomni, dławili swoje i żołnierzy zdenerwowanie.

Ze wsi obiad spóźniony, amunicji dowożą — po polu rannych zbierają. Noc przechodzi bezsenna, wyczerpująca.

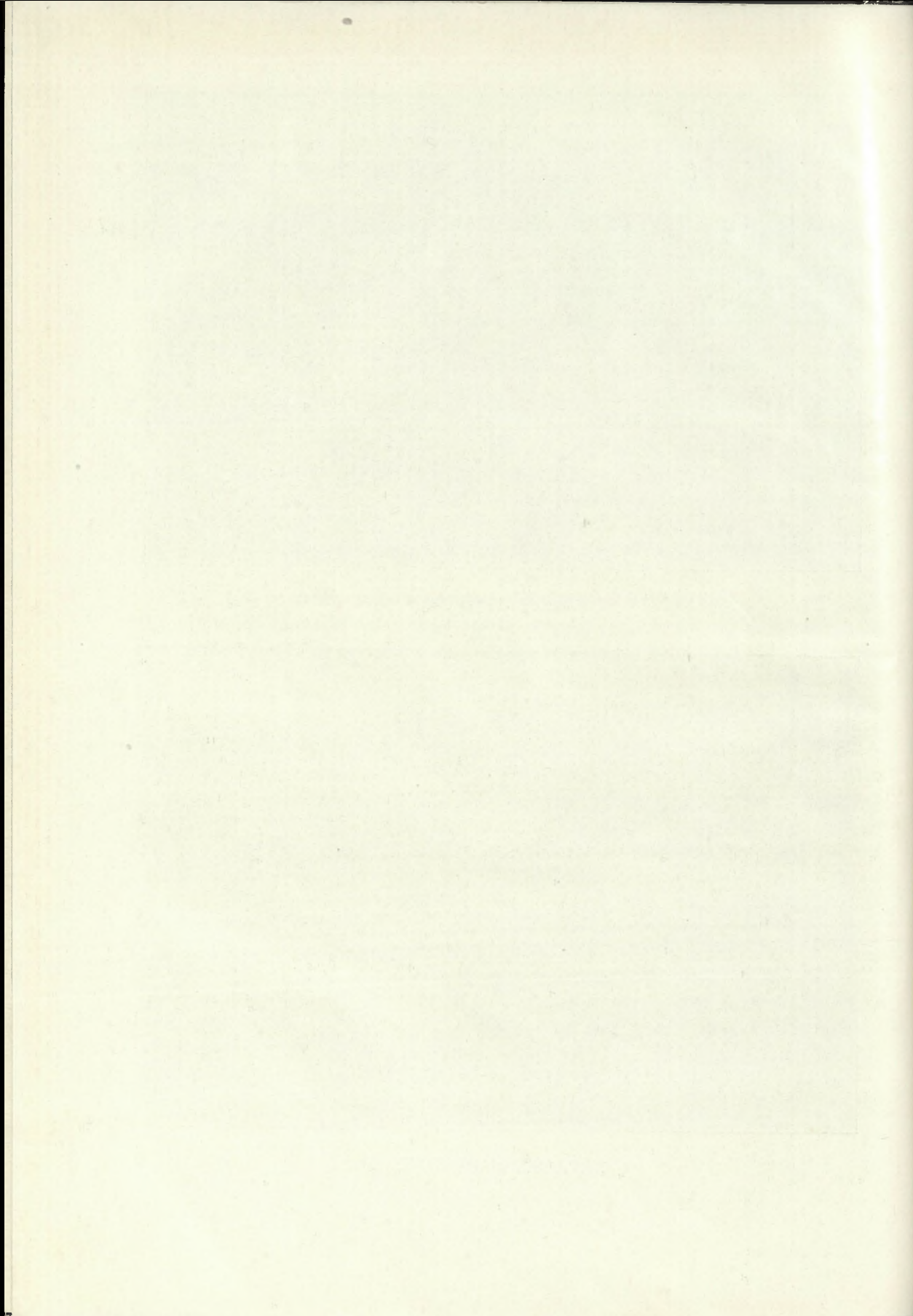
W trzecim dniu walki wysłany zostaje dla wzmocnienia linii III. baon. Tu



ARTYLERZYŚCI.



KARABINY MASZYNOWE.



chodzi o przesunięcie z rezerwy przy możliwie małych stratach. Pod osobistym komendantem maj. Smigłego kierunkiem sączono z Lasków ku okopom małemi grupkami żołnierzy. Cały batalion przeszedł do linii ognia i tylko paru lekko rannych.

Wczorajszy brawurowy atak I-go baonu, żelazny spokój w nocy — dzisiejszy umiejętny, a troskliwy manewr III. baonu — zachwyty, podziw, powinszowania ze strony obserwujących to oficerów austriackich wywołują. Jeden z dowodzących generałów, świadek tych czynów, wyraża w Najwyższem imieniu podziękowania za nie. Pytania o naszych oficerów, o szkoły czy akademie, które najwidoczniej musieli kończyć.

Pozycja nasza, wysunięta obecnie nieco przed front, dalej posunąć nie można — atak na całej linii stanął wobec ciągłego dopływu świeżych pułków rosyjskich. Trzeba trzymać, mimo strasznego ognia artylerji.

W okopach chłopcy urządają się jak najwygodniej. Pogłębianie, przyodziewanie osypujących się ścian, zakładanie osłon i t. d.

Moskale gwałtownym ogniem artylerji przygotowują najwidoczniej atak piechoty. Głęboko trzeba było weźreć się w ziemię. Nasza kompania saperska z całą energią w pracy tej pomaga, skoro tylko zmrok zapadnie.

Noce schodzą bezsennie na wyczerpującej pracy, w dzień odsypia się. Obserwatorzy tylko wyznaczeni czuwają i dość liczne, co prawda, grupy amatorów, zagorzałych sportowców karabina, polują na ukazujące się czasem cele. Reszta, głowę zakrywszy, czem kto może, przed niezdolnie przenikającym wszędzie piaskiem, który sypią w przedpiersie okopu granaty — śpi, nie słysząc gwiełku dokoła.

Nieco w tyle we wsi Laski pracuje komenda i różne urządzenia. Tu ukryte rezerwy. Silniej niż okopy ostrzeliwują Moskale tę jedyną osłonę w okolicy. Tu, ówdzie zapali się chałupa, leci w drzazgi stodoła. Nic to — zmienia się miejsce i pracuje lub czeka dalej.

Rezerwy zakopują się w ziemię. Stoi tu też batalion uzupełniający, który dopiero w Laskach nas dogania. Nie mógł być wcielony, został jako całość. Pierwszy to chrzest ogniowy. Trzymają chłopcy znakomicie, kopią swoje skrytki — oficerowie urządają im wykład z fortyfikacyi polowej przy tej sposobności. Tu ranny komendant tego batalionu, por. Bobrowski — zastępuje go por. Milko (zginął pod Marcinkowicami).

Chałupka sztabu — wysunięta nieco, przez linię wsi ostrzeliwana gwałtownie. Czekamy — w komplecie — w pewnem skupieniu, obserwując przez okno wybuchy granatów z ciężkich dział. „Kufferki“ (granaty) pękają o kilkanaście, kilkadziesiąt kroków w bok lub zadaleko. Wtem jakiś inny gwizd; trzask, huk, drzazgi lecą, zakotłowało się w izbie; jeden już leży na ziemi, drugimi chlu-

snęło o ściany, sam Komendant z impetem z podstawy przy oknie odrzucony na środek izby. Granat szczęśliwie tylko pod węgiel chaty uderzył.

Bo też szczęście ma nasz Komendant. Następnego dnia, gdy szedł przez wieś — dwa „kufarki“ o kilkanaście zaledwie kroków wybuchają z obu stron. Ledwie zdążył się do ziemi przytulić. Powoli legenda rośnie, gdy przyszłość znów wiązkę takich faktów dorzuci.

Zmieniamy zrujnowaną chałupę. Ta sama zabawa i dni następnych. Praca jednak wre — przeprowadza się telefony, urządza połączenia, paraliżuje różne próby Moskali flankowania naszych okopów. Ustalając znakomite współdziałanie naszych baterii z sytuacją w okopach, normuje się gospodarcze sprawy — nawet uprzyjemnia, o ile możliwości, życie w okopach (korespondencja, gazety).

Wśród tej pracy czekamy, czy nie postąpią naprzód w sąsiednich działach. Rzuciliby się chłopcy znów do ataku z pieśnią, dowcipem na ustach. Trzymać trzeba było ten pęd na uwięzi. Energia jednak, choć w drobniejszych przedsięwzięciach, przed frontem upust znaleźć musiała. Często oficerowie biorą w nich udział. W jednym z takich działań zostaje ranny kap. Karasiewicz, komendant V-go baonu wraz z oficerem swego baonu.

Po 5-ciu dniach walki na pozycjach, mimo, że na najbliższym froncie widoczne zwycięstwo — trzeba było rozpocząć odwrót. Całość sytuacji tego wymagała. Moskale potrafili ściągnąć siły tak wielkie, że osiągnęli 3-krotną przewagę liczebną.

Z zalem schodziliśmy z pozycji — rozkaz o odwrócie przytłoczył chłopców. Ociągali się. Ostatnie plutony, co kryły rozpoczęty o zmroku ruch — zostały w okopach długo, ożywioną akcją wykonując. Może choć patrol jakiś moskiewski uda się uszczknąć.

Ostatni zeszliliśmy z pozycji. Zapalone w paru miejscach w ostatnim dniu Laski dogorywały. Łuny sąsiedniej wsi — jakimś dziwnym blaskiem w gęstej jesiennej mgle się rozpraszały. Dziwna cisza raziła uszy, przyzwyczajone do ciągłego huku walki.

W duszy jakaś duma — pierwszy wielki bój — i żal — pierwsza hojna ofiara krwi — i pewność silna, że stało się coś, co nas w żelazną całość spoiło.



Zpod Warszawy.

Na Warszawę szliśmy forsownymi marszami.

Było to w październiku. Błoto na bezdrożach radomskiej ziemi i niedostatek z powodu trudności dostaw, mimo dobrego zaopatrzenia prowiantowych taborów, dawały się silnie we znaki. Ale przeciwważył je zapał. Bo dla żołnierza najlepszym wzmocnieniem jest jeno rozkaz: „naprzód“. Był to bowiem marsz upragniony. Nie znaczy to, aby Warszawa była nam celem. Ona była nam środkiem. Pragnieniem naszym było wziąć Warszawę, aby wzięcie Warszawy było narodowi rozkazem do czynu. Byliśmy bowiem tym tysiącem, który wierzył w naród wbrew jemu samemu; widzieliśmy go czynnym już wtedy, gdy leżał w upokarzającym niewolnictwie oczekiwania i wtłaczaliśmy w niego naszą czynną wolę. Bo szliśmy przez kraj, przerażony gospodarką wszystkich zarówno systemów; drogami, przez które co dnia przewalały się cudze wole, zabijające w narodzie własną wolę obywatelską, aby poderwać mu z pod nóg podstawę czynną i jego męską myśl przerobić w bierność; szliśmy przez kraj naprawdę rozebranego narodu. Ale ci chłopcy wiejscy, którzy wstępowali w nasze szeregi, i te kobiety, które od pól ziemniaczanych błogosławiły nas „Częstochowską“, kazały nam wierzyć głęboko, że żyje w narodzie prawość, która krwią zapieczętuje prawa tej ziemi.

Uspodobienie w naszych szeregach było dobre. Niosły nas głowy rozpalone marzeniami. Dzień za dniem spływał w jednostajnym marszu. Ramiona, znużone dźwiganiem bagażu i gorączka wyczerpania, wryta na twarzach, podnosiły jeno pragnienie, aby nareszcie przyszło do bitwy w miejsce monotoności pochodu. I każdy nowy wiorstowy słup lub nasze polskie sosnowe zagaje na piaszczystej wydmie wrywały z szeregów radosną piosnkę żołnierską. I tak było trzy tygodnie. I byłoby taniem oszukaństwem przeczyć, że głęboki smutek przeszedł przez nasze szeregi, kiedy, zamiast udziału w ataku na Warszawę, przypadło nam stanąć jako straż u mostu łowickiego w chwili odwrotu z pod stolicy. Wiedzieliśmy dobrze, że odwrót nawet chwilowy, strategicznie nawet najkorzystniejszy (jakim się ten właśnie istotnie okazał już w najbliższych tygodniach) złym

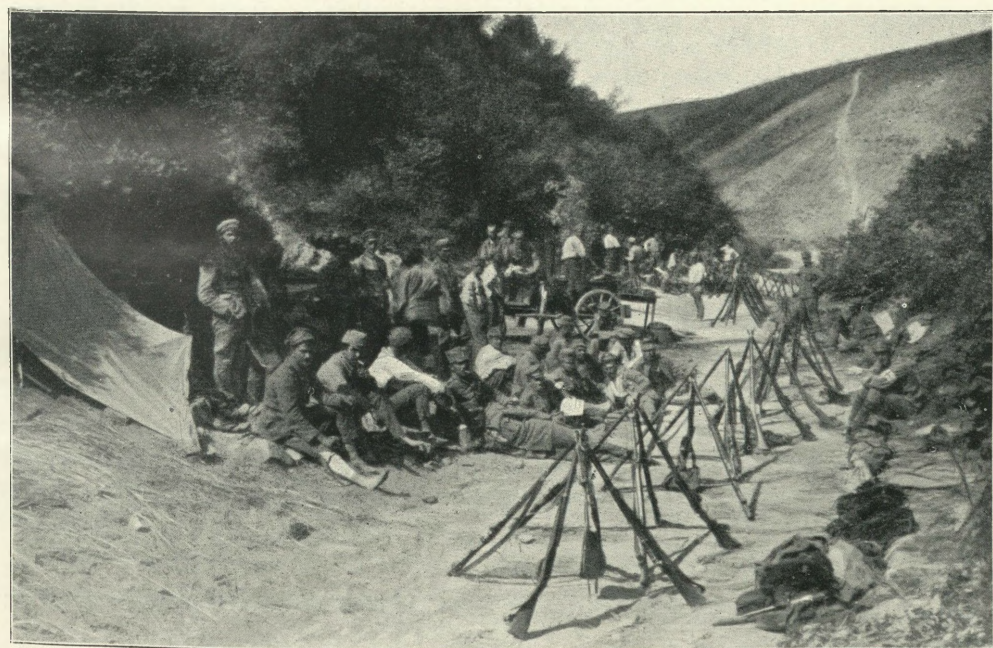
dniem będzie dla naszej sprawy: dla wyrwania narodu z bierności. Dla nas zaś były to tygodnie przeprowadzenia nowych doświadczeń przez najgłębsze instynkty życiowe. Wykuwało się w nas w dalszym ciągu pokolenie, które potrafi ze zogniskowaną świadomością spoglądać oko w oko rzeczywistości, jakąkolwiekby ona była i nie zatracić mocy czynu. Wola walki w nas nie zagasła. I serca tych młodych chłopców nie poddały się wpływowi dokonanych już faktów, a poszły za czynną wiarą w przyszłość. I żadnymi rozmyślaniami czy budowaniem zwątpiałych uogólnień nie wydaliśmy marnego świadectwa naszej żywotności. Dano dowód, że jesteśmy żołnierzem. I sześć dni marszu a jedenaście dni walki w tym odwrocie i pokarm z pastewnych buraków nie ugięły siły oporu.

Trudno dziś określić, czy branie Warszawy było w planie, tak drobne stosunkowo siły poszły w tym kierunku. Cokolwiekbyś stwierdzić trzeba niezwykłą decyzję strategicznych ruchów wówczas na ziemiach Królestwa. Gwałtowny atak trzech saskich korpusów był tak niespodziany i tak wymykający się z pod wszelkich formułek i szablonów i niósł z sobą tyle brawury w inwencji i stanowczości, że łatwo mógł się zakończyć zajęciem stolicy. Dla obrony Warszawy natychmiast cofnięto wojska, które od północy zaczęły oskrzydlać teren Królestwa. Lecz walka się przedłużała. I mimo dobrego przebiegu, z powodu ponownego oskrzydlenia i liczebnej przewagi, na całym froncie odwrót nastąpić musiał.

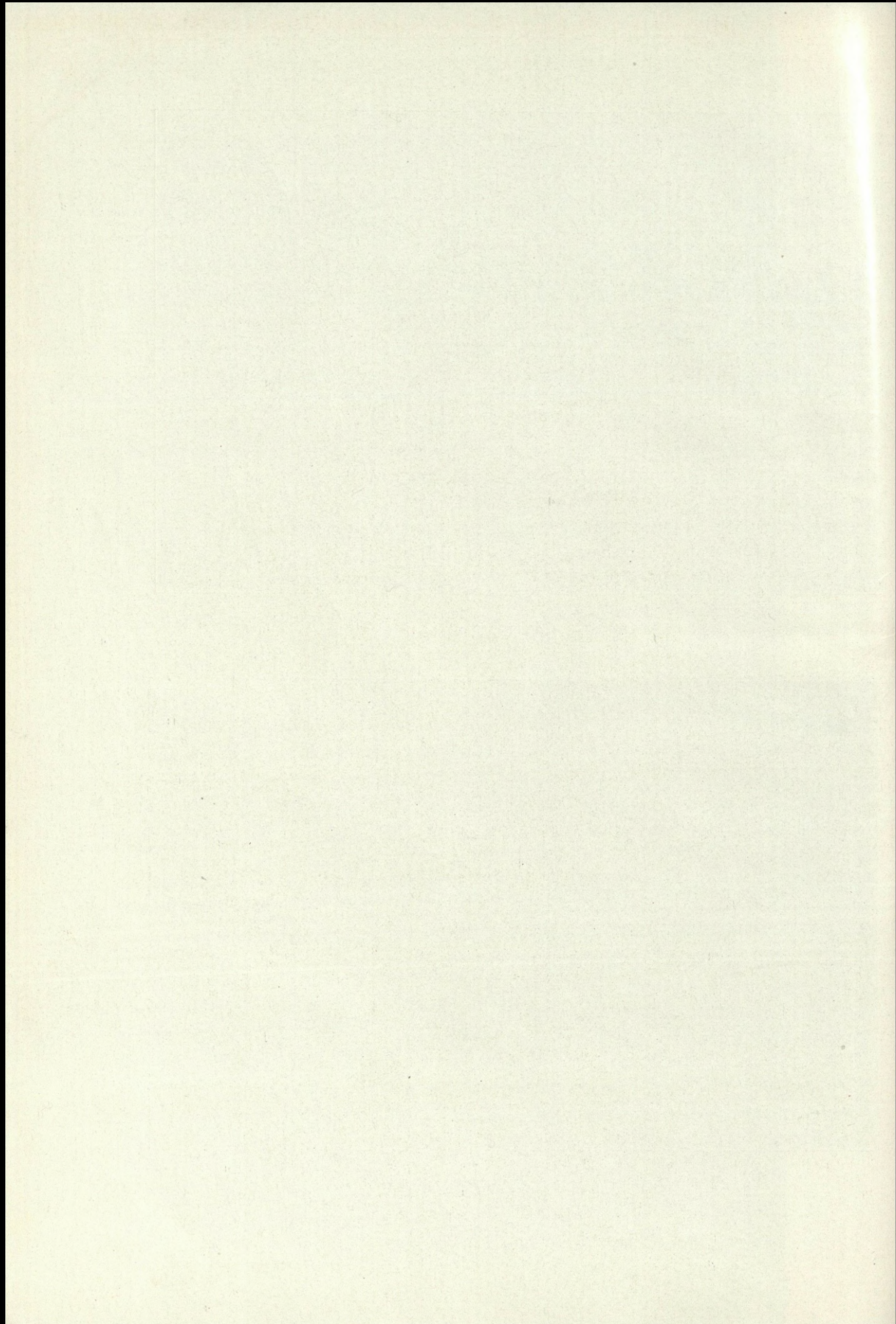
Zaszczytne wojskowo zadanie osłony odwrotu armii z pod Dębłina i Warszawy przypadło Legionowi Piłsudskiego. Jeden pułk wraz z Komendantem poszedł na wschód, dwa zaś bataliony z kawaleryą, prowadzone przez Norwida i Wyrwę, poszły na północ pod Warszawę. Batalion drugi przez Mszczonów zdążył jeszcze dotrzeć do Łowicza, gdy batalion czwarty z Wyrwą już z Grójca, niestety, zagarnął odwrót z powrotem nad Pilicę, gdzie przypadło mu zadanie stanowić ochronę lewego skrzydła armii, osłaniającej odwrót z pod Dębłina. Po dwudniowej walce nad Pilicą z powodu oskrzydlenia kompanie nasze przesunęły pozycje z pod Bud Michałowskich na Niedabył a po walce w Ignacówce okopano się pod Starowiejskim lasem, gdzie wytrwano aż do nadejścia znacznie silniejszych sił. Stąd, osłaniając lewe skrzydło całego korpusu, doparto z powrotem nad rzekę. Tu znowu pod Budami Michałowskimi, zostawwszy jedną kompanię celem strzeżenia boku, stanął batalion pod Białogórą, jako część frontu bitwy pod Grabowem. Grabowska walka pomyślny miała wynik. Zapewniono w ten sposób spokojny odwrót całego korpusu. Tymczasem nad rzeką krwawo musiano walczyć celem obrony przeprawy. Kawaleryę rosyjską szczęśliwie odrzucono, przeprawę utrzymano i, dopiero gdy wynik bitwy pod Grabowem był już zapewniony, ustąpiono z pod silnego ognia arty-



SAPERZY.



W REZERWIE.



leryjskiego i w najcięższych warunkach wycofano plutony przez pustą równinę nadrzeczną. Była to dla nas jedna z najcięższych prób ogniowych, dzień nawiązania w sercach żołnierskich najgłębszej miłości dla Jarnuszkiewicza, kierownika kompanii. Gdy się już wszyscy wycofali, z jednym plutonem pozostał on na pozycji przez długie godziny aż do późnego wieczora, zimną krwią utrzymując w spokoju żołnierza. By nie psuć swobodnej myśli, jedni drugim nie podawali wieści o stratach wśród najbliższych towarzyszków; nie dzielono się ani złą wieścią, ani złą myślą; a gdy noc przysła, złożono na karabinach tych, którzy już sami iść nie mogli i kolejno wycofano się w las.

Tymczasem batalion drugi zdążył do Łowicza właśnie dnia tego, kiedy kawalerya nieprzyjacielska zdołała na tej linii front przełamać. Wojska niemieckie cofnęły się na Łódź. Drobne jeno siły saskie z dywizją krakowskiego korpusu, odcięte na północ od Łowicza, musiały się przemknąć wzdłuż bagien Bzury i frontu rosyjskiego przeforsowanej już Wisły między Modlinem a Włocławkiem. Osłona odwrotu tych sił właśnie przypadła naszemu batalionowi. Odwrot na Łęczycę zabezpieczała od wschodu nasza kawalerya, prowadzona przez Belinę i Orlicza, która, idąc od Skierniewic, po walce pod Jamną stawiała skuteczny opór w okolicach Ozorkowa pod Modlną i Sokolnikami. Batalion nasz bowiem musiał się zatrzymać pod Łowiczem, zanim mógł odpłynąć w kierunku zachodnim. Zadaniem jego była tu ochrona przeprawy przez rzekę. Część więc brońnię samego mostu, część zaś zastaw na rzece, które miały spowodować wylew i tak już obfitej wody i zabezpieczyć jeszcze bardziej teren środkowego Królestwa od strony północy. Bednary i Bełchów, Łowicz, Maurzyce i Zduny były świadkami trzydniowych walk. Kiedy zaś cel walk pod Łowiczem był już osiągnięty i cała armia spokojnie już odpłynęła, nocnym marszem, polnemi drogami przemknęliśmy się popod Kutno. Stąd, zmusiwszy wraz z krakowskimi ułanami nieprzyjaciela do rozwinięcia linii bojowej, szybkim marszem cofnęliśmy się na Łęczycę. Krok w krok za nami postępował kawaleryjski korpus generała Nowikowa.

Po krótkim odpoczynku część batalionu stanęła na wschód od miasta u wylotu Tumu, gdzie przez dwa dni skutecznie odpierano patrole rosyjskie, zuchwale podchodzące tuż pod samo miasto, reszta zaś wróciła na północ, gdzie w Topoli krzyżują się drogi. Okopano pozycje. Patrolami objęto odcinek po Prądzewo. Ale już wieczorem, kiedy pod osłoną armat podprowadzono znaczniejsze już siły, pod grozą odcięcia od miasta trzeba było przesunąć pozycję; obryzgni torfem, szarpanym granatami, ustąpili nasi z okopów. Komentant Norwid ustąpił ostatni.

Dziwnie smutna była Łęczycza. Szare mury, pustka jakby wymarłego miasta, przerażenie, patrzące z każdego domu i ukradkiem przemykające się tu

i owdzie do okna postaci, i deszcz, nieznośny deszcz, szklący na wielkich łbach miejskiego bruku, po którym dudniły fury, odwożące resztki wojsk niemieckich. O karabiny oparci wypoczywali nasi. Lecz nie minęła godzina, kiedy na ochotnika, po siedmiu, kilkoma grupami poszło się odzyskiwać straconą Topolę. Trochę tu było ognia, wiele męczącej czujności i niespodzianym nocnym powrotem wzięto pozycję. A potem znowu cały dzień oporu pod ogniem armatnim lub w walce z czerkiesami, usiłującymi odciąć naszą grupę. Wieczorem zaś przyszedł rozkaz opróżnienia miasta. Gdy noc zapadła, poprzez przejścia zawczasu wyrąbane w cmentarnych murach i ogród folwarczny, cicho wysunięto się poza zachodnią krawędź miasta. Okazało się, że miasto już było osaczone również od południa. Bez strat wykonano jednak marsz do Chodowa. Noc była spokojna, choć nie w najlepszym położeniu. Ze świtem przed wsią rzucono okop. I znowu przyszedł rozkaz do odwrotu. Lecz odbyto jeno trzy wiorsty.

Równoległe z nami po obu stronach szła nieprzyjacielska kawaleria. Za nami nie było lepiej. Na kilka minut drogi przed nami w Gostkowie w oczach naszych wysadzono nam most na rzece. Byliśmy ze wszystkich stron osaczeni. Położenie było naglące. Rozwinęliśmy straż tylną i w carré tyralierskiem rzuciliśmy się ku piaszczystej drodze na Poddębicę. Ostro nieprzyjacielskie karabiny maszynowe trajkotały; z trzech stron świstały kule — wreszcie i z czwartej zagrały armaty. Położenie było niemiłe. Nie wiele się jednak stało; trochę jeno krwi się lało. Na przestrzeni pięciu wiorst przebiliśmy się w godzin cztery, wyzyskując skrupulatnie każdą zasłonę naturalną terenu. Tak dobrnęliśmy do Tura. Tu obcy las przyjął już wszystkie pociski i ruchy nasze dobrze osłonił.

Forsownym marszem przybyliśmy do Warty. Sześć razy przechodziliśmy rzekę, pełniąc w Glinnie służbę ochrony przeprawy.

I znowu było tu trochę ognia armatniego.

Wreszcie mosty poszły w powietrze, a myśmy stanęli z całym korpusem na wzgórzach Nakwasina pod rozkazami feldmarszałka Korde.

W marszu bojowym przyszliśmy do Mroczków Wielkich. Wspaniałymi półkragami w kilkunastu tyralierskich liniach sekcyami rozwinęli się strzelcy, zalewając sobą głęboką równinę; nam przypadło lewe skrzydło. Wskazane wzgórze pod Nacesławicami sforsowaliśmy niezwłocznie; tak nagle znaleźliśmy się już poza linią nieprzyjacielskiej artylerii. Powstrzymani, przez dwie godziny przeleźliśmy na odkrytym polu, zanim przyszedł rozkaz ataku na Chlewo. Bagnistą rzekę przechodzimy w bród i samą szybkością ataku bierzemy pozycję. Z nami idą strzelcy austriacy. Trochę tu jeno ognia było i wziętych żywcem kozaków. Tak atak korpusu, skierowany ku południowemu wschodowi, na ca-

łej linii pomyślnie zamknięto. Na drugi dzień z brzaskiem nowy atak, rzucony w kierunku północno-wschodnim.

Dwa wzgórza mineliśmy bez oporu. Popręczniki bagnetami bierze Rogoziński. I znowu przeszły długie godziny trwania pod ogniem. Trzeciego dnia przyparto wojska nieprzyjacielskie do rzeki.

Obrona była zawzięta.

Wielogodzinny łomot karabinowego ognia znieczulił uszy, a granaty i szrapnele gęsto, jak nigdy dotąd, pokrywały ogniem dominujące pozycje. Słoma ze stogów, rozbitych w strzępy, odbywała dziwnie nerwowe tańce w powietrzu, wstrząśaniem coraz to liczniejszymi wybuchami. Kwas gazów, czad zionący ze zgłiszcz zabudowań, łomot armatni, zdwajany odbiciem w dolinie rzeki, ryk granatów i geizery wyrzucanej ziemi, deszcz szrapnelowego żelaztwa, oczy i usta piachem zasypane, szły z nami krok w krok. Ze wsi dochodził skłębiony płacz przerażonego ludu. W zaduchu i dymie wchodzimy w las. Ryk armat odgłosami wzbogacony i trzask rozrywanych drzew urozmaicają piekielną orkiestrę. I wśród tego wszystkiego spokojna, przywykła do ognia obojętność starego już żołnierza. Chłopcy nasi, prowadzeni spokojną a stanowczą ręką Olszyny-Wilczyńskiego, szli w ogniu w szyku niezachwianym. Jak żelazem złączona, posuwała się linia w skokach równych, stanowczych i planowych. Tak linia Maszowa została wzięta. Korpus Nowikowa odrzucony za rzekę. Bitwa skończona.

Jeden jeszcze uciążliwy marsz — poczem wszyscy przerodzili się w kucharzy. Straszliwe zmęczenie i późną noc przemógł widok worków z mąką: pomysłowość wysilała się na coraz to inaczej przyrządzane podpłomyki. Bo to był dzień odżywiania się za cały tydzień.

Rozkazem odwołani wraz z całą dywizją przez Kalisz i Ostrów wróciliśmy do Krakowa. Tu zdążyliśmy prawie równocześnie z naszym Komendantem, aby razem ruszyć do Zawoi.

W Piotrkowie, 3 czerwca 1915.

Adam Dobrodzicki.

Bitwa pod Krzywopłotami.

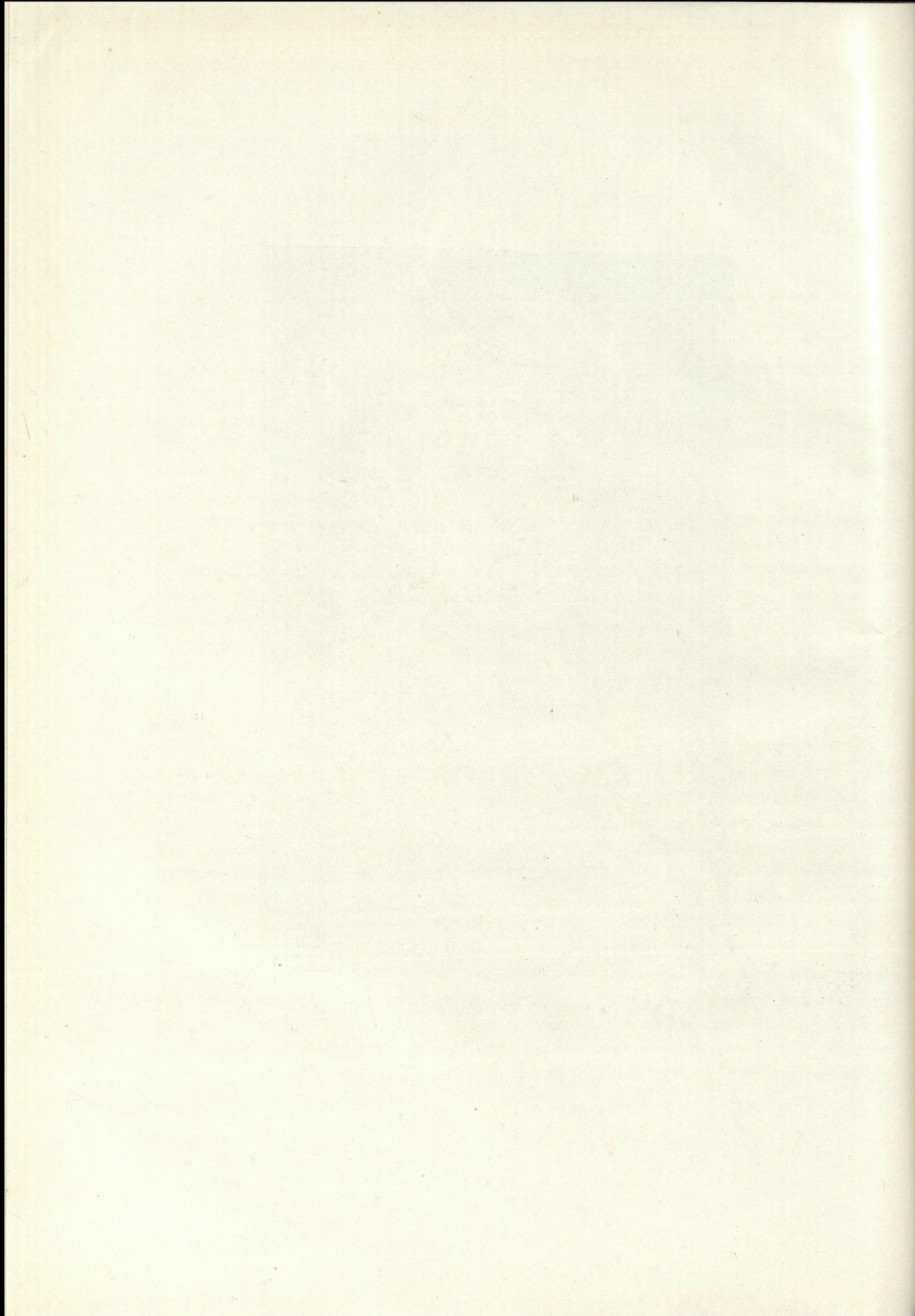
Po kilkudniowych wyczerpujących walkach pod Laskami i Anielinem, w których po raz pierwszy otrzymaliśmy ogniowy chrzest artyleryjski w stopniu tak silnym, rozpoczął się odwrót I. Armii, do której podówczas należał i nasz pułk (I-szy) wskutek przeforsowania linii Wisły przez Moskali. Nasze prawe skrzydło zostało zagrożone. Należało szybko się cofać, aby nie dać się wyprzedzić Moskalom, którzy drogą równoległą do naszej wzdłuż lewego brzegu Wisły podążali, chcąc nam odciąć połączenie z Krakowem. W ciągu tych kilkunastu dni odwrotu — od 26 października do 9 listopada — naszemu pułkowi przypadła w udziale służba w straży tylnej. Mieliśmy być osłoną dla cofającej się grupy wojsk wraz z całym skomplikowanym aparatem trenów, szpitali, maroderów, chorych i rannych.

Zepsucie wozu, zasłabnięcie konia, nieuwaga woźnicy lub inna drobnostka tutaj, w warunkach odwrotu stawały się przyczyną opóźnienia, powodowały stłoczenie ludzi i wozów, psuły nakazany porządek cofania się, wreszcie tamowały swobodny ruch na drogach. I trzeba było całego zasobu energii ze strony władz wojskowych, aby cały ten materiał ludzki i koński rozhuwany utrzymać w korbach organizacyi i porządku, gdyż inaczej przy depresyi moralnej, jaka podczas odwrotu niezawodnie owłada każdym, szybkie cofanie się łatwo przemienić się mogło w bezładną, masową ucieczkę. Tem odpowiedzialniejsze było nasze zadanie: zapewnić bezpieczeństwo cofającym się oddziałom i natchnąć je przekonaniem, iż w tyle po za nimi są jeszcze wojska, które czuwają i które nie pozwolą następującemu na pięty nieprzyjacielowi wedrzeć się do środka... Ta odpowiedzialność napawała nas dumą, dając jednocześnie pewną samodzielność, znaczną swobodę postępowania w nakreślonych granicach.

Niepojętą moc i wytrwałość wykazali nasi żołnierze, młodzi i nieprzywykli w przeważnej ilości do ponoszenia trudów fizycznych. Pomimo kilkudniowej męczącej bitwy — musieliśmy wykazać naszą sprawność marszową i bojową. Ciągły kontakt z nieprzyjacielem, służba ubezpieczająca dniem i nocą, marsze od świtu do późna w noc, alarmy, a do tego dodać trzeba najfatalniejsze warunki odżywiania, gdyż kraj był wyczerpany, a żadnego dowozu nie było, —



LEON BERBECKI, KOMENDANT II. PUŁKU.



wszystko to utrudzało młodego żołnierza. Pojawiać się zaczęły choroby. Toteż, gdy dawano kilka godzin spoczynku, rzucano się gdziekolwiek bądź na ziemię, byle pokrzepić się snem twardym żołnierskim. Nigdzie ani znaku dawnej we-
szości. Spiewy i docinki znikły z szeregów. Zmęczenie i odwrót nie pozostały bez wpływu.

By dać czas trenom na zwiększenie odległości od nieprzyjaciela, zajmowa-
liśmy jednodniowe pozycje w Brzechowie, pod Rembowem i Górami, wkopu-
jąc się wszędzie w ziemię dla zwiększenia odporności. Wreszcie pod Wolbro-
miem zostaliśmy zluzowani przez inny pułk. Wtedy — już jako przeciwieństwo
stanu napięcia nerwowego, które występuje łącznie z poczuciem odpowiedzial-
ności i chęcią spełnienia obowiązku, i jako rezultat nadużywania tego stanu
napięcia — nastąpiło obezwładnienie ogólne. Nerwy odmówiły posłuszeństwa,
sen kleił powieki, karabin i plecak ciążyły niemiłosiernie, schylały ku ziemi,
układały do snu. Organizm domagał się swych praw. Pod wieczór nadciągnę-
liśmy gnuśnym marszem do Lgoty Wolbromskiej, o kilka zaledwie kilometrów
odległej od Wolbromia, by w niej przenocować. Jednak nie sądzono nam to
było. Ledwie zasnęliśmy — po raz pierwszy od Lasek bez patroli, placówek
i wedet — snem zasłużonym, gdy przyszedł rozkaz natychmiastowego odmar-
szu dalej na zachód. Trzeba było tarmosić, stawiać na nogi, grozić karami,
nim wreszcie oddział gotów był do dalszego marszu.

Wolno, bardzo wolno, ociężałe po piaszczystym bezdrożu śród nocy cie-
mnej i ponurej posuwała się kolumna, roniąc maroderów, pierwszych maroderów
od początku odwrotu. Wreszcie o 2-iej w nocy zatrzymaliśmy się biwakiem w rzad-
kim lasku sosnowym. Zgorączkowani i wyczerpani ludzie jak kłody legli do snu, nie
przeczuwając wcale, iż za kilka zaledwie dni wrzeć tu będzie bój, że ziemia ta zro-
szona zostanie krwią wielu z nich obficie, że miejsce to zapisze się najkrwaw-
szemi zgłoskami w historii pułku naszego: biwakowaliśmy w lasku pod Krzy-
wopłotami. Zmęczenie musiało być znaczne, skoro nikt nie szukał chałup, nikt
nie „podróżował“ i nikt nie węszył za jadem, jednym słowem wyzbyto się swej
nieodłącznej natury, natury „żołnierza-dłubinoska“. Nieotaczane pieczołowitym
staraniem żołnierzy, lubiących gotować lub piec ziemniaki, ogniska — wygasły,
żarząc się tylko gdzieś i dymiąc na chłodnym wietrze. Rozlegało się
wśród nocnej ciszy nierówne chrapanie, wpadały w ucho pojedyncze słowa,
wymawiane przez sen, bez związku, niezrozumiałe, głupie w swej treści — oznaki
stanu gorączkowego. Nawet złośliwie zimny poranek listopadowy nie zbudził
nas ze snu. Poprzez szronem pokryte gałęzie niskich, koszlawych, niewyrosłych
na piaszczystej glebie sosen, pod przykryciem mgły, przejmującej do szpiku
kości chłodem, tuliły się ciała śpiących do siebie. Zdawało się, że w ciągu tej
jednej nocy listopadowej chciano odespać całe swe zmęczenie, wszystkie niedo-

spane noce, że chciano w kamiennym śnie znaleźć ukojenie dla nerwów, że wreszcie chciano okłamać głód — towarzysza nieodłącznego ostatnich dni odwrotu.

Dopiero — już dawno dzień był — krzyk: „kuchnie nadjechały“ przypominał żołądkowi o jego słusznych prawach. Rażno z naczyiniami ruszyliśmy do kuchni, by ciepłą strawą ogrzać się i pokrzepić. Było to ostatnie śniadanie wspólne w pułku spożyte. O nieprzyjacielu nie mieliśmy określonych wiadomości. Dlatego też bataliony I, III i V z kawaleryą udały się pod dowództwem komendantów na wywiad*), dwa inne (VI i IV) oraz artyleria pod komendą majora Trojanowskiego — pozostały dla zajęcia pozycji obronnych pod Krzywopłotami. Do tych batalionów zostali włączeni nowi rekruci, zwerbowani w Częstochowie, Dąbrowie, Piotrkowie i Łodzi — około 600 ludzi.

Tego samego dnia (10/XI) otrzymaliśmy uzupełnienia, tak że oba bataliony (IV pod Wyrwą i VI pod Satyrem) liczyły ponad 1000 ludzi. Artyleria (8 armatek muzealnego pochodzenia) była pod rozkazami kapitana Brzozy. Nad całością objął komendę — jak zaznaczyłem — major Trojanowski.

Pozycja przeznaczona przebiegała wzdłuż wzgórze Święty Krzyż (z ruinami), aż do lasu, w którym nocowaliśmy. Ze Świętego Krzyża, który dominował, mieliśmy doskonały przegląd okolicy. Przed nami rozciągała się duża błotnista kotlina, przetrzyta Przemszą. Pośrodku niej stał młyn. Bliżej pozycji cmentarz z kaplicą. Szerokość kotliny wynosiła około 1,5 klm. Po bokach wznosiły się wzgórza; — na prawo leżała wieś Bydlin, na lewo ciągnęło się na wchód Załęże, przytykając do lasu Domaniewickiego, odległego w linii prostej od Świętego Krzyża o 2000×—2500×, — IV-ty batalion pozostawiono w rezerwie w Krzywopłotach (o dwa kilometry na zachód), VI-ty miał obsadzić pozycję i zajmując się doprowadzeniem jej do stanu, nadającego się do obrony; artyleria przygotowywała sobie pozycję na Świętym Krzyżu i poza nim. Na lewo od nas zajmował pozycję jakiś czeski pułk, na prawo 92 brygada. Na tej linii rozkazano dać odpór Moskałom. Należało więc dobrze wybudować okopy. W pracy nad pogłębianiem rowów strzeleckich, nad maskowaniem przedsieni okopów, nad patrolowaniem okolicy — pędziliśmy dni. O nieprzyjacielu żadnych konkretnych wiadomości nie było. Zjawiały się, a i to daleko, patrole konne. Aby utrudnić nieprzyjacielowi skryte podejście, wyrównaliśmy przy pomocy saperów austriackich teren, przed naszymi pozycjami leżący, oraz pościnaliśmy drzewa. I, gdyby nie deszcz jesienny, to czas, spędzony na pozycjach, w porównaniu z trudami przebytymi podczas odwrotu z pod Dębłina, odpoczynkiem nazwaćby można było.

*) z którego wskutek odcięcia powrócić nie mogły do Krzywopłotów, lecz. torując sobie drogę bagnetem, poszły na Kraków.

Dnia 15 listopada rano poszliśmy do rezerwy (do Krzywopłotów), zluzowani przez IV batalion. Tegoż dnia nieprzyjaciel nadciągnął; patrole jego ukazały się na skraju lasu Domaniewickiego. Na lewym skrzydle naszego korpusu (I. 1-ej Armii) słyhać już było strzelaninę armatnią.

Dnia 16 wskutek ognia granatów i szrapneli, którymi Moskale poczęli zasypywać wieś Krzywopłoty, cofnęliśmy się na zachód o 2 klm. do lasów pod Kwaśniowem. Przystąpiliśmy tam do budowy olbrzymich baraków ziemnych, mieszczących po 60—100 ludzi. Jednak nie nadażyliśmy do wieczora i, pomimo bardzo zimnej nocy (-1^0), wypadło nam nocować po żołniersku — pod gołym niebem.

W ten sam sposób spędziliśmy dzień 17 listopada. Dopiero nad wieczorem zostaliśmy zaalarmowani. Przymaszerowaliśmy o 6-ej wieczorem do Krzywopłotów, gdzie oficerom dano rozkazy do nocnego ataku. Cicho, rozwinięte w tyralierkę, kryte w ciemnościach, posuwały się kompanie IV batalionu na punkt zborny — do znanego lasku u stóp Świętego Krzyża.

Na kilka minut przed ósmą nawiązaliśmy kontakt z dwiema kompaniami IV batalionu (Słomki i Styka), które miały razem z nami wziąć udział w ataku. Zadanie nasze polegało na zajęciu wsi Załęże, na której wschodnim krańcu usadowili się Moskale. Krótkie rozkazy wydano przyciszonym głosem, jakby w celu nienaruszania ciszy i powagi nocy. Wreszcie rozkaz „bagnet na broń“ elektryzuje szeregi. Ruszamy długą gęstą linią tyralierską czterema kompaniami (Kordyana i Ludwika VI B. oraz Słomki i Styka IV B). Punktem orientacyjnym jest dom płonący w połowie wsi. Za nami w odległości 300—400× idzie rezerwa — kompanie Paderewskiego i Lisa z VI B. Pozostałe dwie kompanie IV B. strzegą okopów na Świętym Krzyżu.

Wysłane naprzód patrole wchodzą do Załęża i płoszą posterunki rosyjskie. Pada jeden, drugi strzał odosobniony, a zaraz potem zarechotały niby żaby na wiosnę karabiny piechoty rosyjskiej na całej linii przed nami, jak gdyby z pod lasu Domaniewickiego. Kule górują, brzęcząc zjadliwie. Ma się wrażenie, że, w ciemnościach pobłądziwszy, trafiliśmy na pasiekę, gdzie pszczoły, zazdrosne o owoc swej żmudnej pracy — chcą brzękiem swym przerazić łakomego śmiałka. Pada ciężko ranny major Trojanowski. Komendę nad I batalionem obejmuje kap. Herwin (VI B.). Schyleni — posuwamy się wolno, spokojnie, spacerowym krokiem naprzód. Wreszcie dosiegamy pierwszych zabudowań Załęża. Na prawo od nas — na mokradłach — kompanie Słomki i Styka posuwają się dalej naprzód — sięgając już prawie swym prawym skrzydłem lasu.

Zaniepokojeni Rosyanie wzmagają ogień. Zaszczekał wreszcie i karabin maszynowy na końcu wsi. Echo jego gęstych i miarowych strzałów objiła się rozgłośnie o zabudowania i potężnieje. Pojawiają się pierwsi ranni. I właśnie

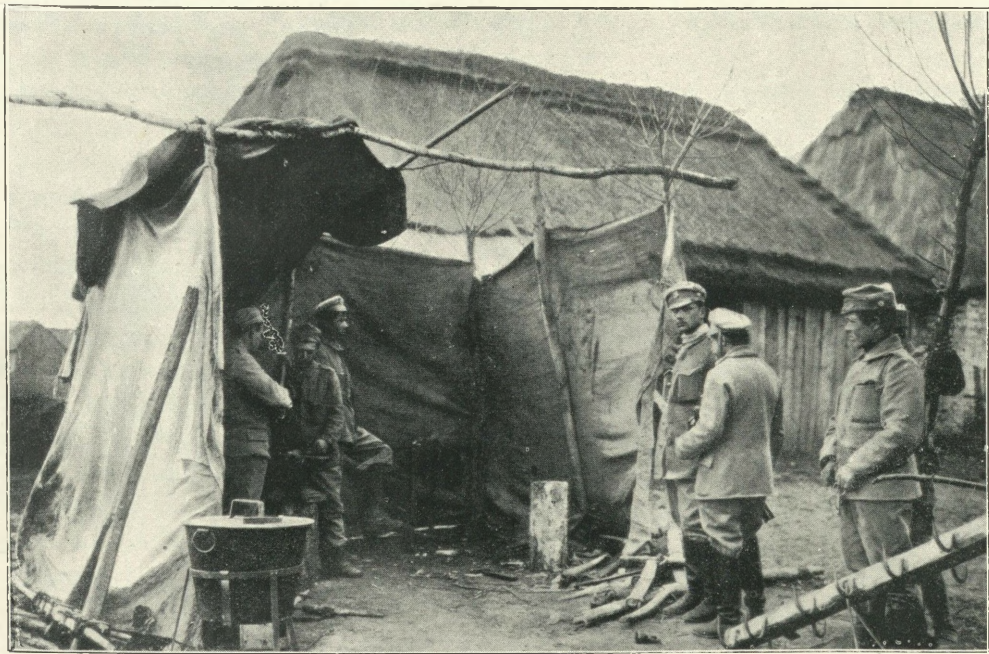
w chwili, gdy kompania Kordyana rusza dalej, w głąb wsi — nadchodzi rozkaz cofnięcia się. Zdumienie. Wszak nie daliśmy ani jednego strzału, bez strat prawie zajęliśmy pierwsze już zabudowanie — i rozkaz odwrotu? Żołnierz jednak w bitwie nie filozofuje. Wolno, niosąc pięciu rannych, wycofujemy się. O 12-ej przychodzimy do Krzywopłotów i tam wtłaczamy się do 7—8 cuchnących i zniszczonych chałup i stodół, by w nich do rana poczekać. Tymczasem oficerowie udają się na odprawę do maj. Trojanowskiego, który przed swym wyjazdem do szpitala chciał wydać rozkazy.

Następnego dnia (18/XI) IV batalion pozostaje na pozycji w okopach, zaś VI B. rusza o 8:30 rano do ataku, mając za zadanie zajęcie wsi Załęża i umocnienie się w niej. Sąsiednie oddziały austriackie atakować będą ze skrzydeł pozycje Rosyan na skraju lasu Domaniewickiego. Artyleria ma wspierać nasz atak ogniem, skierowanym na linię okopów rosyjskich przed lasem i w lesie. Z ciężkim sercem wracamy do oddziałów. Zaduch — nie do wytrzymania w przepełnionych pokurczonymi ciałami żołnierzy izbach. Nocujemy więc w pałacu adjutanta Suszkowskiego, t. j. w obszernej ziemiance, zbudowanej przed kilkoma dniami. Ciemności panujące rozjaśniają promienie ledwie, ledwie tlejącego ogniska. Po długich staraniach udało nam się zrobić herbatę. Na pogawędce spędziliśmy resztę nocy. Skoro świt, poczęliśmy szykować kompanie do odmarszu na pozycję. Głodni i zmęczeni — niechętnie zbierali się żołnierze. O 7:30 już siedzieliśmy w okopach na skraju lasu. Dopiero kilka kulek rosyjskich ożywia oddział. Posypały się drwiny pod adresem przeciwnika. — Kap. Satyr wydaje ostatnie rozkazy. Oficerowie rozchodzą się do oddziałów. Mamy jeszcze pół godziny czekać, aż do sygnału gwizdkowego. Czekanie denerwuje. Juźby radzi żołnierze bój rozpocząć, choćby najkrwawszy, byle nie czekać, byle odwrócić uwagę od natarczywie nieznośnych myśli. Ruszają wreszcie patrole na skrzydła. Żołnierze czują zbliżającą się chwilę boju, poprawiają tornistry i pasy, przekładają amunicję do kieszeni.

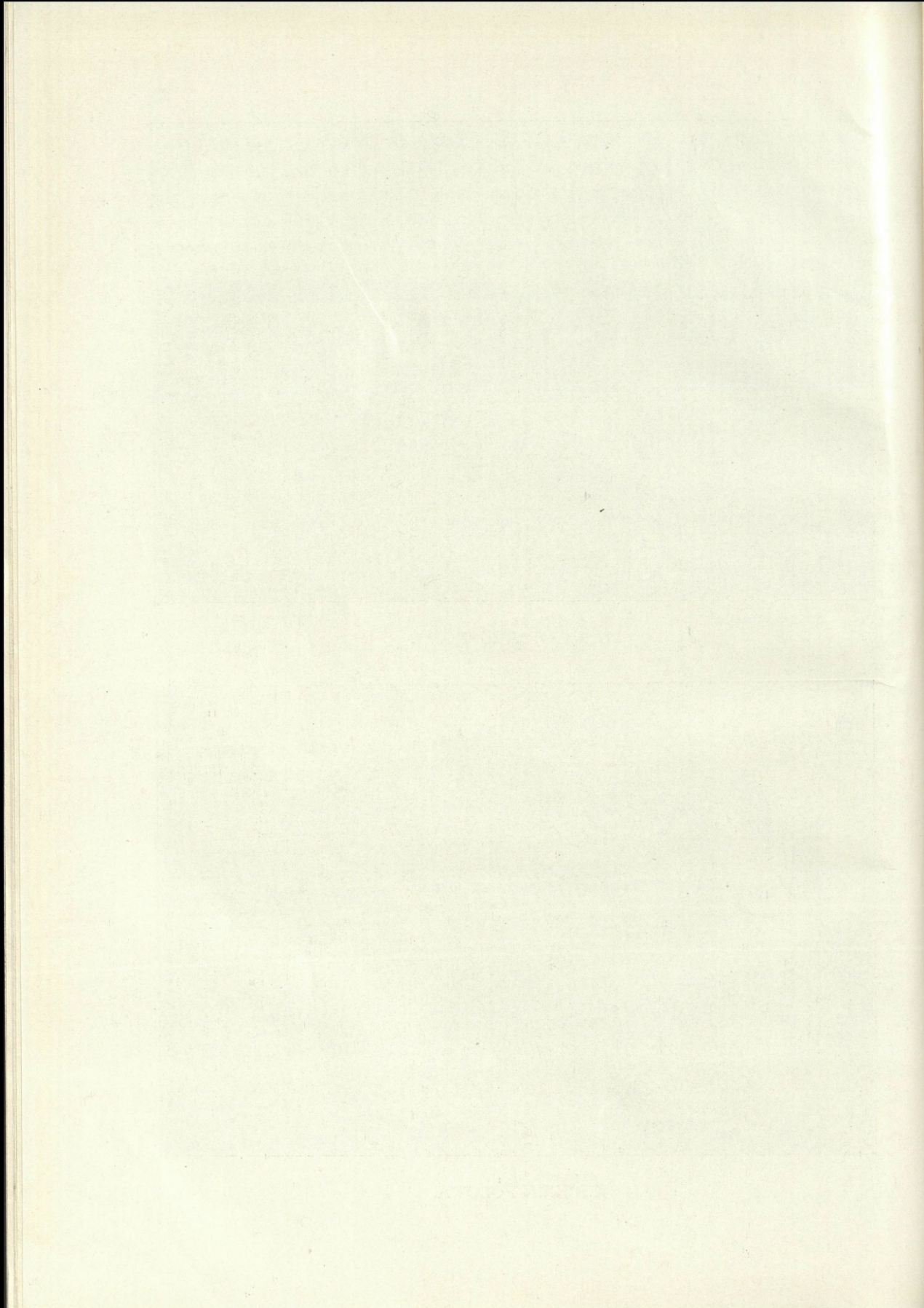
Gwizdek! Krótki rozkaz po nim bezpośrednio i długa linia półkompanii pod Paderewskim wynurza się z rowu. Zrazu wolno, a potem w miarę zwiększania się ognia Moskali coraz szybciej sunie naprzód. Zdyszani ludzie przypadają do ziemi, by się za chwilę znów do skoku zerwać. Rażony w serce pada por. Paderewski. Oryentuje się kap. Satyr, że rozwijanie dalszych kompanii na tym wyrównanym terenie, który miał być mogiłą dla Rosyan, w razie ataku z ich strony, może stać się teraz dla nas zgubnym. Skierowuje więc kompanię Ludwika i pozostałą podkompanię Paderewskiego na wieś Załęże i trochę na lewo. Trzeba jednak i tutaj przebyć 1000× po równinie, nim się dosięgnie zabudowań. W liniach półkompaniami mkną naprzód. Już pierwsza półkompania dopada zabudowań Załęża, gdy nagle zgrzytnęły szyderczo dwa karabinki ma-



PUNKT OPATRUNKOWY.



KUCHNIA POLOWA.



szynowe, siejąc zniszczenie. Zda się, iż w szalonym pośpiechu i nawale strzałów, gruchot ich zlewa się w jeden potężny huk. Zakotłowało się w linii. Nadbiega jednak druga półkompania i, porwawszy pierwszą, pod kierunkiem kap. Herwina, pędzi dalej, byle jak najprędzej dosięgnąć choćby połowy wsi, skąd już możnaby otworzyć ogień dla powstrzymania huraganu ognia moskiewskiego. Ludzie padają gęsto. Pada ppor. Medyński, prowadzą rannych ppor. Szatana i Denochę. Kilkanaście ciał wije się na ziemi. Wreszcie i trzecia linia z por. Ludwikiem nadciąga. Wieś zasypana jest kompletnie gradem kul. Wprost niema miejsca wolnego od nich. Wysłana z rezerwy kompania Lisa traci trzecią część swego składu, nim wreszcie znajduje jakie takie przykrycie we wsi. Tymczasem piekło ognia zwiększa się, bo oto przemówiły basem armaty rosyjskie, zarzucając zabudowania Załęża granatami. Porywa się więc Herwin i na czele plutonów Łubieńskiego, Małego i Kwiatka małymi szybkimi skokami po 2—3 ludzi dochodzi do krańca wsi — celu ataku, skąd już tylko przestrzeń 300—400 × dzieli go od lasu Domaniewickiego. — Godzina 11-ta. Karabiny rosyjskie pracują gorączkowo, aż się las cały trzęsie i gotuje. Nie bacząc na straty, plutony Wiedeńczyków ostrzeliwać się już zaczynają, gdy nagle zostają zarzucone szrapnelami źle przystrzelanej artylerii austriackiej. Zostawiwszy 10 zabitych i ciągnąc kilkunastu rannych, cofają się do połowy wsi, gdzie już półkompania Ludwika zaczęła się okopywać pod ogniem. Rozbitki zasilają linię strzelecką. Wsięki na prawo i lewo rosną z zadziwiającą szybkością. Chodzi jednak o to, aby zbadać, skąd głównie, z jakiego punktu skierowany jest ogień moskiewski. Wychodzi na łękę kap. Herwin i, przywoławszy podpor. Łubieńskiego, lornetuje pozycję moskiewską, odległą o 600—700 kroków.

A karabinki maszynowe rosyjskie — jakby urażone pogardą dla skuteczności ich ognia — szaleć poczęły, obrzucając śmiazków chmarą kul, aż się ziemia wkoło nich zakurzyła. Z zapartym oddechem śledzimy, oczekując lada moment niechybnej katastrofy. Wreszcie Herwin odwrócił się, włożył spokojnie lornetkę do pochwy i spokojnie wrócił za parkan kamienny, okalający domostwo wiejskie.

Rozpoczęliśmy miarowy ogień, skierowany na podnóże lasu. W pierwszej linii złane i przemieszane ze sobą kompanie Ludwika, zabitego Paderewskiego i Lisa. Na prawo w tył — kompania Kordyana, który nadciągnął tymczasem.

Miast zapowiedzianego sztabu 92 Brygady, ze skrzydeł ukazała się kompania czy też dwie od strony Bydlina i, posunawszy się na 2000 × od nieprzyjaciela, prawie nieostrzeliwane. wycofywać się poczęły. Godzina 12-ta; co dalej począć wobec nierozpoczynania się zapowiedzianego ze skrzydeł ataku? Kap. Herwin posyła meldunek i prosi zarazem o instrukcyę.

Tymczasem, pomimo huraganowego z naszej strony ognia, aż lufy parzyć

poczynają, złamać ognia rosyjskiego nie sposób. Czuć wyraźnie przewagę ilościową. Rannych i zabitych przybywa — z amunicją krucho.

O godz. 1:15 przychodzi rozkaz od kap. Satyra, że, wskutek zmian w zarządzeniach 92 Br., mamy się wycofać. Osłaniać wycofywanie ma ogniem z pozycji IV B. i artylerya.

Ryknęły nasze śmiesznie małe armatki, wywołując zdumienie u Moskali. Zionęły raz, drugi, dziesiąty ogniem i dymem z otwartych pozycji. Zręcznie rzucone rwać się poczęły granaty tuż nad okopami moskiewskimi, tłumiąc siłą swego ognia ich piechotę. A baterye, jak gdyby zachęcane odniesionym tryumfem, jęły pracować ze zdwojoną siłą. Ciskały się kurczowo, dymiły, huczały małe Brzozy armatki. Poczerniali od prochu, okutani kłębamii dymu zwijali się pracowicie nasi artylerzyści, niosąc ulgę cofającej się piechocie i umożliwiając jej zabranie rannych.

Sekcyja za sekcyją z rannymi odchodziła z pola walki. Pozostałe w końcu dwa plutony ostrzeliwały się do nadejścia zmroku. Wreszcie i one cofnęły się do lasku przy św. Krzyżu. Przy ostatniej chałupie Załęża zebrało się jeno sześciu oficerów VI B., omawiając wypadki stoczony bitwy. W ciemniejszej dali widać było czarne plamy na polu i łące — świadki, nieme na zawsze, stoczony walki. Ogień rosyjski słabł. Zrzadka tylko zabrzczała kulka. Cisza zbliżającej się nocy kładła kres walce.

Pospiesziliśmy do lasku — miejsca zbiórki batalionu i punktu opatrunkowego. Widok przygnębiający: obok chałup w rząd ułożono kilku zmarłych od ran. A wewnątrz — pośród brudu, na słomie, pookrywani kocami i płaszczami, leżeli ranni. Jedni, już opatrzeni, w oczekiwaniu na wozy transportowe; inni, krwią zbroczeni, ze spokojem ból znosząc, czekali na swoją kolej. Doktorzy tymczasem szybko i zręcznie dezynfekowali rany, nakładali stopy bandaży, krępując nimi mocno rany. Pomimo wytężony pracy, zdawało się, że rannych nie ubywa.

Już zupełnie ciemno było, gdyśmy się zebrałi w barakach pod Kwaśniowem dla zrobienia przeglądu batalionu. Okazało się, że na 440, biorących udział w boju, 177 zostało na placu rannych i zabitych, a więc ponad 40%.

Mimowoli żal serce ściszał, że straty poniesione nie dały widocznego rezultatu wskutek odwołanis wydanych poprzednio rozkazów. Jednak wykonanie otrzymanego rozkazu w warunkach tak trudnych pod deszczem ołowianym pocisków karabinowych i armatnich, prawie bez pomocy artyleryi w czasie samego ataku, wreszcie bez broni tak charakterystycznej dla boju piechoty w obecny wojnie — bez karabinów maszynowych — dawało nam wewnętrzne zadowolenie i uchroniło od depresyi moralnej. I gdy rano polecono VI-mu batalionowi wysłać kompanię jedną dla wzmocnienia IV baonu w przewidywaniu

ponownego ataku, to trzeba było z pośród nadmiaru zgłaszających się oficerów losować. Kompanię poprowadził Ludwik.

Pod gradem szrapneli wolno w małych, luźnych grupkach przebywaliśmy kilometrowej przeszło długości równinę, dzielącą Krzywopłoty od św. Krzyża. Szczęście nam sprzyjało.

W słonecznym, łagodnym świetle jesiennego poranku, z otuchą, jaką daje niechybnie początek działań ofenzywnych, posuwały się drobne figurki naszych żołnierzy, przypadając plackiem do ziemi, gdy gwizd płonących szrapneli i trzask wybuchów stawał się zbyt bliskim i natarczywym. Wreszcie weszliśmy w martwe pole wzgórza Św. Krzyż i tam jako rezerwa przesiedzieliśmy do dnia następnego (20/XI). Widzieliśmy jak na dłoni posunięcie linii austriackiej naprzód, dzięki czemu mogliśmy pozbierać zabitych w boju poprzednim. Zsiniałe i skostniałe zwłoki poległych towarzyszków broni leżały we wspólnym prostym grobie. Po południu nadszedł rozkaz, zwalniający oddziały nasze na wypoczynek.

Po skutecznej mroźnej ziemi, wsłuchane w odgłosy oddalającej się bitwy, wynędzniałe i strudzone posuwały się szeregi piechoty polskiej. Pochylone, jakby pod ciężarem nawały myśli o poległych towarzyskach, szły w milczeniu na zasłużony spoczynek.

Szczodry posiew krwi nie pozostał bez śladu. Wszczepił on w duszę uczestników hart i zawziętość, czynnik nieodzowny zwycięstwa.

9 maja 1915 r.

Na Podhalu.

Chyżówki, Słopnice, Limanowa, Tymbark, Marcinkowice, Nowy Sącz — oto główne punkty upartej walki, pełnej ofiar i bohaterstw, stoczonej przez pułk pierwszy Legionów na Podhalu w ciągu ostatniego tygodnia listopada i pierwszej połowy grudnia.

Oddziały nasze miały do czynienia ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem, to też kilkakrotnie posuwając się z niesłychaną brawurą w sam środek operacji nieprzyjacielskich, nieraz cofać się musiały, ale zawsze po to tylko, by z powrotem wracać i jeszcze dalej posuwać się ku przodowi.

Oddoczynek nasz w Zawoi po dwumiesięcznych marszach i walkach, zakończonych słynnym wywiadem bojowym z Krzywopłotów na Ulinę Małą do Krakowa (11—13 listopada), został niespodzianie przerwany; wieczorem 20 listopada gruchnęła wieść, że przyjechał kapitan jeneralnego sztabu, który przywiózł rozkaz wymarszu. Wieść była prawdziwa. Nazajutrz, wczesnym rankiem stał już cały pułk na gościńcu, wiodącym do Makowa. Tego samego dnia byliśmy w Makowie, 23 listopada wsiedliśmy na pociąg, który miał nas gdzieś zawieźć.

Jechaliśmy szlakiem kolei transwersalnej. Pociąg drżał od wesołych, zda się beztroskich pieśni żołnierskich i mknął, mknął...

Późnym wieczorem zatrzymał się wreszcie w historycznej Mszanie Dolnej; dalej tor był zniszczony. Rozkaz: „wysiadać!“ i długi, uciążliwy marsz gościńcem po gołoledzi ku Dobrej.

Mróz trzaskający; piękna zimowa pogoda. Widnokrąg przesłaniają kolosy gór, pokrytych białymi lasami. Zimne promienie księżycy kąpią się w szronie drzew przydrożnych. A na gościńcu zgięte pod ciężarem rynsztunku postaci żołnierskie, gnane przed siebie jednym słowem — rozkazem.

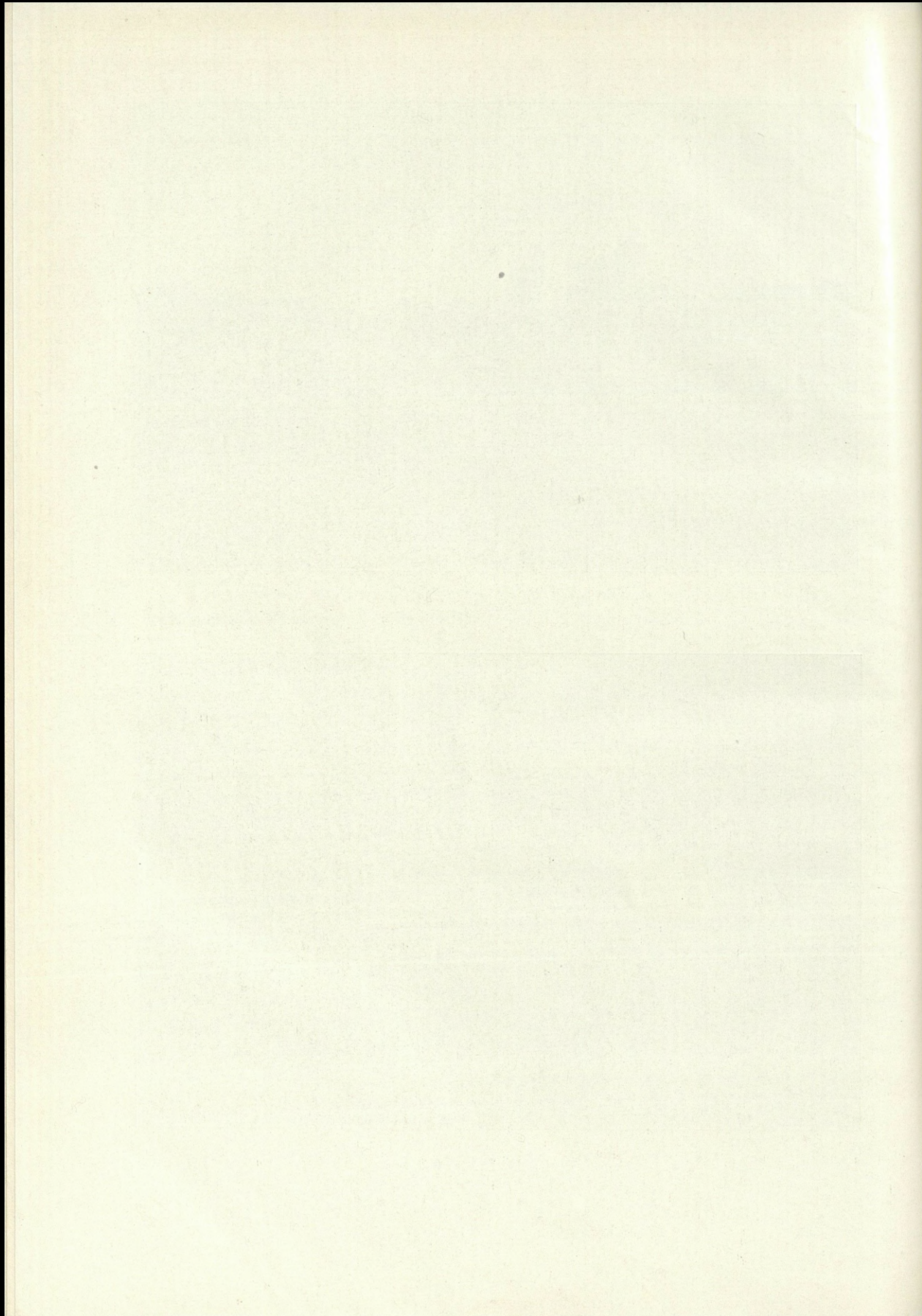
W nocy już, znużeni, zziębnięci przyszlismy na miejsce, by się dowiedzieć, że większa część wsi zajęta przez naszą i austriacką kawaleryę (dragonów). Dwa bataliony zdołano pomieścić, dwom innym — naszemu trzeciemu i drugiemu kazano iść w stronę Jurkowa, by go zająć, jak i sąsiednią wieś — Chyżówki.



TABORY.



POCZTA POLOWA.



Zeszliśmy z gościńca. Prowadził w zastępstwie majora Smigłego-Rydzia, który został na odprawie w komendzie głównej, porucznik Scewola-Wieczorkiewicz.

Zaledwie uszliśmy kilometr, zatrzymało nas kilku chłopów-górali wiadomością, że we wsi, przeznaczonej nam na nocleg, kwaterują Moskale. Wiadomość ta, najmniej może spodziewana, ożywiła nas odrazu. Wieczorkiewicz zawezwał kilku oficerów na naradę.

Chłopi twierdzili, że jest ich koło stu. Przyjechali przed wieczorem; jeździli po owies do Jurkowa i Wilczyc, następnie cofnęli się i zakwaterowali w Chyżówkach.

Postanowiono zdobyć kwatery.

Porucznik Olszyna pójdzie na przełaj przez Łopień (kota 951), oparłszy się o strumień Czarną Rzekę, zajmie przełęcz (wzgórze 695); tym sposobem odetnie odwrót na Słopnice Królewskie. Wywiad pod same Chyżówki poprowadzi podporucznik Dąbrowa, po zbadaniu sytuacji wróci do Jurkowa, gdzie na jego meldunek czekać będzie reszta.

Po chwili wydłużyła się na śnieżnym polu kolumna Olszyny; za przewodnika służył góral, jeden z tych, którzy przynieśli wiadomość.

W Jurkowie, zachowując pełną gotowość, wchodziliśmy oddziałami naprzemian do chat, gdyż żołnierze tak przeziębili, że niektórzy mówić z zimna nie mogli.

Koło godziny 1-ej po północy wrócił Dąbrowa. Przyniósł meldunek, że Moskale czują się bezpiecznie i śpią jak zabici. Czuwa tylko kilka posterunków. Zaraz potem ruszaliśmy wprost na Chyżówki.

Bez najmniejszego szmeru wyciągnął się sznur dwuszeregiem na wązkiej górskiej ścieżynie. Po przejściu kładki na małym strumyku weszliśmy w obszerne defilé pomiędzy szczytami Łopień (kota 951) z lewej strony, a Mogielnicą (kota 1171) z prawej. Na dnie tej kotliny, nad potokiem Łososią, leży wieś Chyżówki.

Ubezpieczenie przednie prowadzi podporucznik Kruk-Grzybowski. Jestem w straży przedniej. Pół kilometra jeszcze do Chyżówek. Zatrzymujemy kolumnę. Grzybowski wysła patrol pod dowództwem kaprała Lubonia-Kamińskiego (poległ w bitwie pod Łowczówkiem). Wkrótce przychodzi meldunek. Moskale kwaterują, ale w przeciwnym końcu wsi na osiedlu poza parowem. Pierwsze chałupy spatrolowane.

Idziemy dalej. Instynktem wyczuwamy każdy ruch, badamy każdy zaułek. Szmer górskich strumieni, szum lasu na wirkach, bicie własnego serca i ten sznur ludzi cichy daje obraz przytającej grozy.

Wązka drożyna, pokryta szkliwem lodowem, utrudnia i tak uciążliwy marsz;

zapominamy jednak o zmęczeniu i głodzie, rozgrzani myślą o tem, co za chwilę być może.

W połowie wsi Wieczorkiewicz nas zatrzymuje i wydaje krótkie dyspozycje: porucznik Burhardt skręci z drogi na lewo, posuwać się będzie u podnóża Łopienia i z tej strony zaatakuje; podporucznik Tatar-Trześniowski okrąży osiedle na prawo pod Mogielnicą, zamknie ścieżyny przez Dzielec (wzgórze 755) do Słopic Szlacheckich i nawiąże łączność z Olszyną; pozostałe plutony pójdą wprost drogą i rozpoczną atak.

Po chwilowym spoczynku doszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie wieś urywa się przeciętą parowem. W dali widać duże osiedle — nasz cel. W tym czasie przybył nasz komendant, major Rydz, i objął komendę. Grzybowski zagłębia się już tyralierką w krzaki parowu; ruchem oskrzydłym na prawo idzie pluton podporucznika Żarskiego-Radońskiego; łączność z Tatarem ma utrzymać pluton podporucznika Rawicza-Mysłowskiego; drogę, która wiodła wązką przełączką, zamyka pluton Soroki-Zbijewskiego.

Wszystko gotowe. Każdy ma swe zadanie; można polegać, że wykona dobrze. Z zapartym oddechem nadśluchujemy ostatniego rozkazu. Krzepko trzymamy bagnety. Czekamy znaku. Minuty wydłużają się w nieskończoność. Osiedle przed nami jak na dłoni śpi spokojnie. Na tle białej ściany chaty rysuje się cień pikiety.

Moskale mają sami dać hasło do ogólnego ataku: kapral Sęk-Dobrowolski (poległ w bitwie pod Łowczówkiem) z kilkoma ludźmi wychodzi na skraj przeciwnego brzegu parowu; łamie umyślnie gałąź. Trzask — i po chwili ciszę niepokalaną przerywa donośny, przeciągły, echem rozniesiony okrzyk:

— Stoooj! kto i-dioooot!

Odpowiedzią na to było gromkie nasze „hurra!“

Z parowu, z krzaków, z za drzew wyłoniły się postaci naszych. Kilkanaście odosobnionych strażów padło z osiedla. Łańcuch zacieśnia się coraz bardziej; Moskale znaleźli się w położeniu bez wyjścia — zginąć lub poddać się; jak zwykle, wybrali to drugie.

Zaroilo się śpiące osiedle. Okrzyki radości, przerażenia, błagania przerwały ciszę. Moskale, często nieubrani, wybiegali z chat bezbronni, podnosząc ręce do góry, prosili o życie. Zganiałiśmy biegających, wyciągaliśmy z chałup zaspanych jeszcze; ludność wskazywała ukrytych.

Część naszych, chciwi łupów, dorwała się do troków przy siodłach, wyciągając stamtąd butelki wódek, osetki masła i sera, owoce suszone, cukier, łakocie, jednym słowem wszystko, co Moskale zdążyli zrabować, a nie zdołali zjeść.

Tymczasem noc zaczęła rzednąć. Jeńców (83, w tem czterech oficerów) pod

eskortą, uzbrojoną w zdobyte lance, odprowadzono do Dobrej; na konie (koło 70) powiadali nasi żołnierze w tornistrach, co dość komicznie wyglądało. Z tej ostatniej zdobyczy skorzystali nasi ułani.

Wśród jeńców było kilku Polaków. Opowiadali, że szwadron ten, przeznaczony specjalnie do wywiadów, został utworzony z doborowych żołnierzy różnych pułków. Tego dnia, którego wojna dla nich została skończona, mieli być w Mszanie Dolnej. O kawalerii, kwaterującej w Dobrej od kilkunastu godzin, nic nie wiedzieli. W przejeździe przez Limanową rozbili browar, co spowodowało uspienie czujności doborowej kawalerii.

W ataku tym nie ponieśliśmy prawie żadnych strat. Mieliśmy tylko 2 rannych, szeregowca i oficera (podporucznika Świąteckiego).

Tego samego dnia przez defilé Chyżówki przeszedł batalion kapitana Sława-Zwierzynskiego, co nas upewniło, że spać po pracy możemy spokojnie.

Po epizodzie w Chyżówkach nastąpił kilkudniowy „kontredans“ w Limanowskim. Najpierw marsz do Wilczycy, potem posunięcie się naprzód do Limanowy, znów odwrót, potem napad na Tymbark i znów cofnięcie się. Od Limanowy jednak za żadną cenę pułk ustępować nie chciał i nie mógł — tu bowiem była linia tyłów, poza którą nie wolno było przepuścić Moskali. To też bronił tu zacięcie swych pozycji, by okazać, że powierzone mu zadanie samodzielne, partyzancką obroną Podhala, poprowadzi i wypełni skutecznie. Kulminacyjnym punktem walk był marsz Piłsudskiego na Nowy Sącz, marsz kilku batalionów na cały — jak się później okazało — korpus rosyjski.

W potyczkach na Podhalu obok piechoty walczyli godnie nasi ułani pod wodzą Beliny oraz oddział artylerii kap. Brzozy, którego udział zaznaczył się kilkoma pięknymi epizodami.

Słota i mrozy późnej jesieni oraz trudności terenu górskiego poddały ciężkiej próbie wytrzymałość polskiego żołnierza, z której oddziały nasze wyszły więcej jak zwycięsko, bo od ostatnich dni listopada po dziś dzień walczą niestrudzeni, idąc wciąż naprzód z niesłabnącą brawurą.

Po wyprawie nocnej na Chyżówki rozkwaterował się pułk w Jurkowie. Trzeciego dnia pobytu w tej miejscowości batalion III. pod wodzą Sława otrzymał rozkaz odmarszu od Słopnic Królewskich i posunięcia się o ile możności najdalej w kierunku Limanowy. Ponieważ straż przednie tego batalionu stwierdziły, że obok Słopnic tylko od strony Kamienicy znajdują się słabe patrole rosyjskie, batalion pomaszerował wprost do Limanowy, gdzie zajął kwatery. Stała tam już kawaleria austriacka, której sieć patroli sięgała do Kasiny, oddalonej 7 klm. od Nowego Sącza.

Noc i poranek następnego dnia przeszedł spokojnie. Dopiero około południa patrole konnicy doniosły, że szosa od Sącza zbliżają się trzy szwadrony

ułańów rosyjskich, a jednocześnie wzdłuż toru kolejowego posuwają się dwa szwadrony z artylerią.

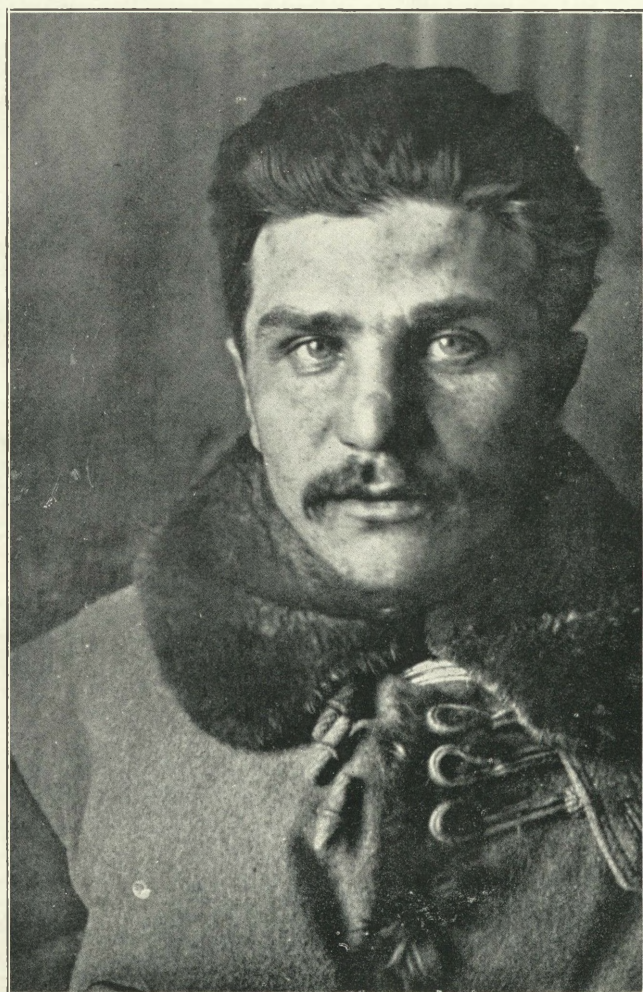
Trąbki zagrały na alarm, a w chwilę potem batalion nasz obsadził przystanek kolejowy i drogę, prowadzącą do Starej Wsi. Kompania piąta pod dowództwem Sawy otrzymała rozkaz obsadzenia oddalonej nieco szosy. Już w połowie drogi jednak dostała się w silny ogień artylerii rosyjskiej, która szybko zdołała wstrzelać się w nasze szeregi. Z zimną krwią weteranów rozwinęła kompania swe linie, pod gradem szrapneli, pękających naokół. Zaraz w pierwszej chwili oficer Stopyra, dowodzący plutonem, padł ugodzony pociskiem. Omdlewając z bólu, zdołał jeszcze wydać komendę przesunięcia linii swego plutonu.

Wśród szalonego ognia armat i karabinów spieszonyj kawaleryi do zmierzchu wytrwał batalion na pozycjach. Walka obfitowała w trudne, dramatyczne niemal chwile. I tak naprzykład kompania Sawy wystrzelała całą amunicję i stałaby się wprost bezbronną, gdyby nie pewien dzielny ułań Beliny, który, nie zważając na grad kul, w galopie dotarł do odległych pozycji austriackich i przywiózł amunicję.

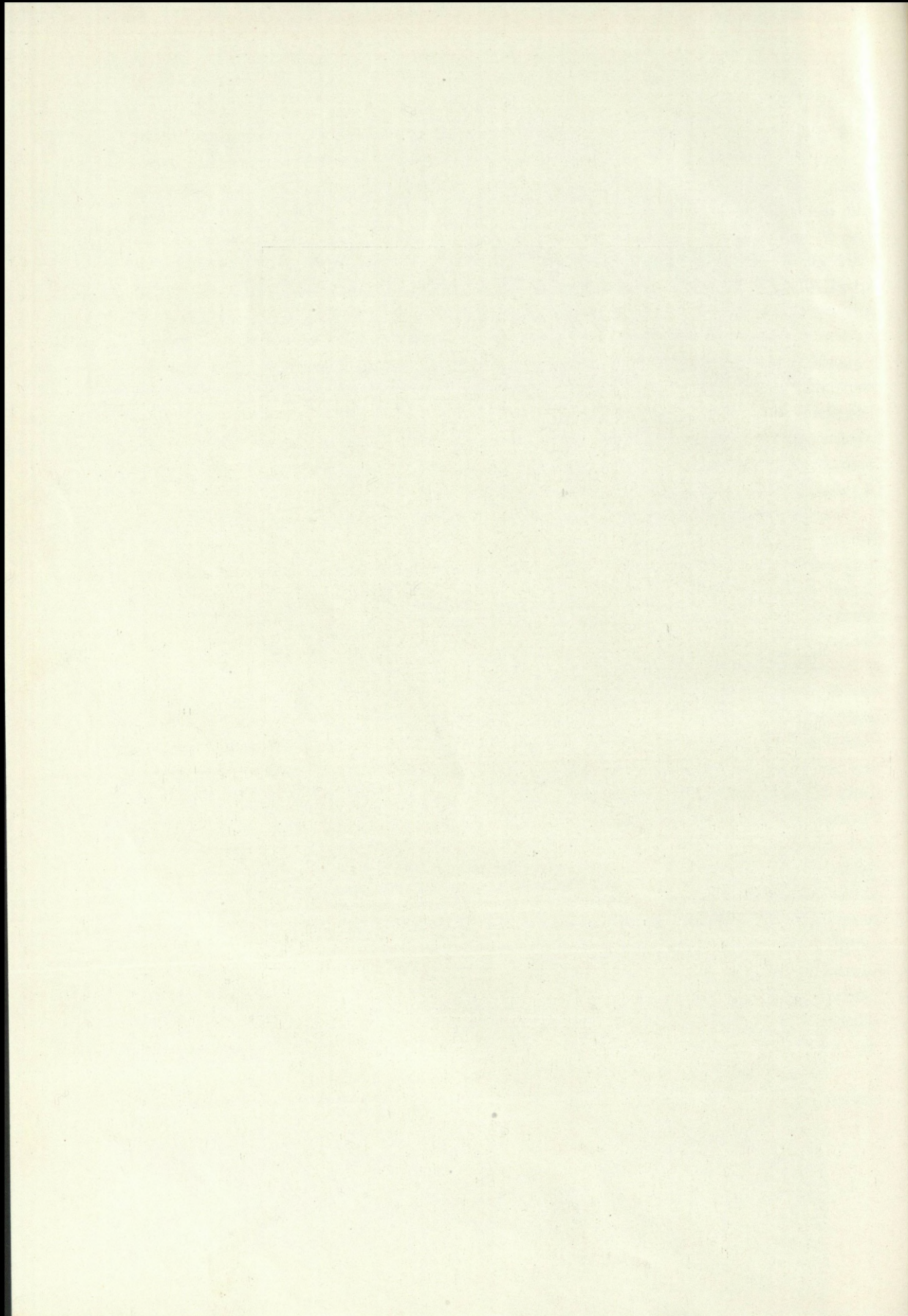
Pod osłoną nocy cofnął się batalion do Łososiny, gdzie oczekiwała go już pomoc w liczbie dwóch kompanii pierwszego batalionu. Na linii nowych pozycji wrzały nazajutrz drobne utarczki z kawaleryą nieprzyjacielską. Jeden z plutonów kompanii Wira dopuścił patrol, złożony z 50 konnych, na odległość kilkudziesięciu kroków i dopiero wówczas przywitał go salwą, kilku Moskali padło na miejscu, wielu zranionych uciekło pośpiesznie.

Batalion trzeci w czasie tych walk zajmował pozycje w dolinie Chyżówki między wzgórzami Mogilnicą i Łupieniem i dnia 28 listopada, po krótkiej walce, rozbił patrol kawaleryi rosyjskiej, kładąc trupem oficera i zabierając dwóch żołnierzy 17 pułku huzarów do niewoli, poczem, spełniając rozkaz, cofnął się do Słopnic, gdzie również zmierzał batalion 5-ty i część 1-go. Nowe pozycje pod Słopnicami zajął batalion trzeci oraz część brygady kawaleryi, wspomaganey bateriami armatniami. Aby umożliwić przejście 3-go batalionu na pozycje, batalion 5-ty, zmęczony poprzednimi walkami, rozwinął linię tyralierską przed Słopnicami i pod silnym ogniem artylerii konnej oraz 5-ciu szwadronów ułańskich wytrwał na pozycjach do godz. 1-szej w południe. Dopiero, spełniwszy swe zadanie, cofnął się do rezerw. Tymczasem patrol, wysłany w kierunku Tymbarku, przyniósł wiadomość, że w miejscowości tej rozkwaterowała się kawalerya i artyleria rosyjska. Natychmiast wysłano batalion 1-szy wraz z przydzielonym karabinem maszynowym w kierunku Tymbarku, celem zaalarmowania wojska rosyjskiego. Batalion pod komendą Kuby wywiązał się wspaniale z zadania.

Podsunięwszy się pod Tymbark od strony Limanowej, otworzył gęsty ogień



WŁADYSŁAW BELINA-PRAŻMOWSKI
KOMENDANT KAWALERYI.



na miasteczko. Zaalarmowana załoga rosyjska rozwinęła natychmiast front w kierunku Limanowej. Po zaciętej walce Rosyanie, nie orientując się widocznie, z jaką siłą walczą, cofnęli się pośpiesznie w kierunku N. Sącza, ścigani przez wojska armii, których rezerwę stanowił 3-ci batalion. Tymbark był wolny.

Bezpośrednio potem, wyteżonym marszem, który utrudniała w wysokim stopniu gołoleź, panująca na górskich, nierównych drogach, pułk zdążył przez Limanowę do Kaniny i Wysockiego. Żołnierze nasi wchodzili w okolice, w których jeszcze przed kilkoma godzinami grasowały patrole kozackie, rabując wsie i znęcając się nad ludnością. To też wszędzie witano ich radośnie. Były to wyjątkowe chwile, w których ucichł zgiełk walki, a żołnierz mógł oddechu zaczerpnąć. Tylko Beliniacy nasi w okolicach Wysockiego przez całą noc tłukli się z patrolami rosyjskimi.

Nazajutrz, dnia 5 grudnia, rozpoczyna się dla I-go pułku okres najcięższych walk, w których mała garstka miłością ojczyzny natchnionych żołnierzy potrafiła całej armii wroga dzielnie stawić czoło.

Rano rozpoczął się dalszy marsz w kierunku Nowego Sącza. Górskimi drogami, które słoty jesieni i pierwsze mrozy doprowadziły do najgorszego stanu, cztery bataliony nasze I-go pułku dotarły do Homranic, Woli Marcinkowskiej, Marcinkowic, aby z tych pozycji zagrozić skrzydłu nieprzyjacielskiemu. Już mrok zapadał, gdy pionierzy nasi rozpoczęli budowę mostu na Dunajcu.

Sądząc z doniesień patroli kawaleryjskich, należało przypuszczać, że, z wyjątkiem Rdziostowa i Trzetrzewiny, droga do N. Sącza jest wolna. Planowano nocny atak na N. Sącz w nadziei, że wojsko nasze zdoła uwolnić miasto od nieprzyjaciela, który tam umieścił dywizję konnicy i dwie baterie dział. Mogło to się stać jednak tylko przy najlepszym zbiegu okoliczności. W każdym razie atak naszego pułku mógł wciągnąć do walki przeważną część wojska rosyjskiego i w ten sposób umożliwić armii austriackiej dokończenie zwycięstwa.

Na wzgórzach pod Rdziostowem ustawiono artylerję naszą, która na wypadek nieudania się wyprawy miała osłaniać odwrót naszych szeregów.

Gdy noc już zapadła, oddział Beliny przeprawił się wpław przez Dunajec, aby zbadać okolicę. Zaraz obok wsi Dąbrowy ułani nasi natknęli się na dwa szwadrony 32 pułku dońskich kozaków. Wywiązała się zaciekle walka, w której padło kilku kozaków, kilkunastu zostało zranionych, dwóch zaś dostało się do niewoli, prócz tego zdobyli nasi ułani 13 koni rosyjskich. Zeznania jeńców miały znaczny wpływ na dalsze nasze plany. Donieśli oni mianowicie zgodnie, że na N. Sącz ciągnie nowy korpus rosyjski, co zasługiwało tembardziej na wiarę, że i nasze patrole w okolicy Dąbrowy natknęły się na nowe znaczne siły rosyjskie, idące ze wschodu.

Wobec tego zaniechano ataku na N. Sącz i tylko artylerja nasza otrzy-

mała rozkaz ostrzeliwania mostów w N. Sączu. Około godz. 3-ciej w nocy usłyszano wyraźnie na szosie, wiodącej z Dąbrowy do N. Sącza odgłosy poruszających się trenów. Natychmiast artyleria nasza otworzyła w tym kierunku silny ogień, wskutek czego tren stanął na całej linii. O świcie jednakże, ze względów taktycznych, cofnięto artylerię głębiej w teren, a równocześnie po raz wtóry kawalerya nasza przeprawiła się przez Dunajec celem zbadania pozycji nieprzyjacielskich. W chwili jednak, gdy ułani znaleźli się na drugim brzegu, Moskale rozpoczęli szalony ogień ze wszystkich rodzajów broni. Tak więc dopiero teraz okazało się, że trzy nasze skromne bataliony stały nie naprzeciw taborów, jak to w nocy mylnie sądzono, ale naprzeciw całego korpusu armii rosyjskiej, idącego od Nowego Sącza. Był to wspaniały, a zarazem pełen grozy widok, gdy nasi ułani, wśród gęsto pękających szrapneli, wśród gradu kul karabinów maszynowych i gorączkowych salw piechoty w pełnym galopie pędzili wzdłuż pozycji nieprzyjacielskich. Dopiero las pobliski osłonił naszą dzielną kawaleryę przed szalejącym ogniem. Celny ogień ułanów naszych wystrzelał prawie całą obsługę baterii nieprzyjacielskich, poczem wśród okropnego ognia powrócił oddział wplaw ku swoim.

Mimo, iż gwałtowny atak rosyjski na Marcinkowice szedł z dwóch stron, a mianowicie od Rdziostowa i Dąbrowy, nie zaniechał nasz pułk ofensywy w kierunku N. Sącza. Na linię Marcinkowice—Rdziostów wysłano część batalionu III., która pod okropnym ogniem artylerii i karabinów maszynowych rozwinęła front bojowy na pozycjach, położonych o wiele niżej od nieprzyjacielskiej. W istnem piekle bezustannego ognia żołnierze nasi wytrwali przez półtorej godziny, nie pozwoliwszy wielkiej nawale wroga ani kroku postąpić naprzód.

Dla przedłużenia frontu wysłano kompanię z I. batalionu pod komendą Władysława Milki, a równocześnie artyleria kap. Brzozy zajęła pozycje na wschód od Homranic i ostrzeliwała posuwające się szeregi rosyjskie od strony Rdziostowa.

Kompania Milki dostała się odrazu w szalony ogień szrapneli. Nieprzyjaciel, który na garstkę naszych forsował atak dwóch pułków, ostrzeliwał obecnie pozycje nasze nie tylko z frontu, ale także z lewej flanki. Były to chwile straszne. Komendant Milko pada ugodzony pociskiem szrapnela, obok niego pada sześciu żołnierzy, a z piekielnym hukiem wystrzałów mieszają się jęki rannych.

Siły rosyjskie, które zajęły tymczasem Trzetrzewinę, rozwinęły linię na dominującej szosie, tak, że obecnie już i z prawej flanki zagrażały naszym. Wówczas brygadier Piłsudski, spokojny jak zawsze, panujący nad sytuacją niezwykle umiejętnie, wycofał nasze siły do Pisarzowej pod osłoną artylerii.

Na poboju zostało kilkunastu rannych pod opieką patrolu sanitarnego, złożonego z komendanta Oberharda ze Lwowa, Lublingera, Sikorskiego i Świderskiego. Ponieważ Rosyanie musieli po walce zmienić pozycje, pozostawili naszych rannych, biorąc do niewoli naszych dzielnych sanitaryuszy.

W Pisarzowej I. i III. batalion przez cały dzień wytrzymał napór przeważających sił nieprzyjaciela. Jednym z najpiękniejszych fragmentów tej nowej walki było dzielne zachowanie się naszej artylerii pod komendą kap. Brzozy. Bez pomocy piechoty dwukrotnie odparła ona silny atak rosyjski, strzelając z otwartych pozycji pod ogniem ciężkiej artylerii rosyjskiej i karabinów maszynowych. Po wejściu do Nowego Sącza okazało się, że strzał armatki Brzozy rozbił rosyjskie wielkie działo.

Legionistom, walczącym na Podhalu, niezwykle dodawało ducha zachowanie się ludności tamtejszej, jaknajsympatyczniejsze pod każdym względem.

„Człowiek oddycha swobodnie — wspominał owe chwile brygadier Piłsudski — czuje, że jest w ojczyźnie, ma otoczenie, które z nim sympatyzuje i dopomaga, w czym może. Pomagali nam wszyscy bez wyjątku: chłopci okazali nadzwyczajną ofiarność i wysilili cały spryt góralski w oddawaniu nam usług. Szli nam na rękę drobni obywatele ziemscy, nawet żydzi. A wprost nie znajdę słów zachwytu dla zachowania się księży, tak serdecznie nas przyjmowali, ostatnie wyciągali, byle tylko dopomóżdź, działali dla nas kazaniem na ambonie“.

Wywiady zawsze były doskonałe, współdziałało w tem wszystko; jakich dowcipnych sposobów chwytala się ludność w tym celu, będzie można dopiero później opowiedzieć. W sposobach tych objawił się i zapał i oryginalna chytrość chłopska. Rwali się starzy chłopci i 16-letni chłopacy, by oddać przysługę swoim; cała wieś była w ruchu, wszystko było zajęte myślą, jakby się przydać. Kobiety wyciągają z komór resztki skromnych zasobów, byle uraczyć gości; czekają na każde skinienie; dopytują, czy nie przyda się mleko, słoma, opał; na kwaterach wysilają się, by dać możliwe w tych warunkach wygody.

Moskał wszędzie znienawidzony; ludność nie daje się ogarniać panice, dokąd on przychodzi, nie ucieka, ale z zaciętymi zębami, z typowym spokojem góralskim, przypatruje się jego gospodarce, obserwuje jego ruchy, aby wiedzieć o nich, co potrzeba i zrobić z tego użytek, jaki należy. Władze wojskowe austriackie nie miały dość słów uznania dla zachowania się ludności polskiej w Galicyi zachodniej, zwłaszcza w walkach naokoło Dunajca; częstokroć podkreślały z naciskiem stanowisko jej, pełne życzliwości i usług. Chłop polski był uświadomiony co do swej roli...

W Legionistach widział nietylko obrońców, ale przedewszystkiem czuł w nich własne swe dzieci. To też opiekował się troskliwie rannymi, ukrywał

starannie odbitych od pułku i zaginionych, jeńcom ułatwiał ucieczkę. Żal ogar-
nął Beliniaków za dwoma straconymi towarzyszami, Stefanem Orłowskim
i Chwalibogiem Pieckiem; albo polegli, albo dostali się do niewoli. Aż tu po
tygodniu wracają z całym rynsztunkiem, niosąc w dodatku zdobycz w postaci
dwóch siodeł i apteczki felczera rosyjskiego. Pomogli chłopci...

A jakie uczucia względem żołnierzy Legionów żywi ludność miejska i in-
teligencja, okazał Nowy Sącz. Wszedł tam Piłsudski w niedzielę 13 grudnia
wieczorem. Mimo zmierzchu dostrzegli mieszkańcy wkroczenie swoich dzieci.
Tłumy zbiegły się na powitanie. Zabrzmiały wiwaty, okrzyki radości, starzy
ludzie z rozrzewnienia płakali, rzucono się wzajem na szyję. Zbiegowisko było
tak wielkie, że oddziały posuwać się nie mogły; wciąż rozlegały się okrzyki
„Niech żyje Piłsudski!“. Tłum tak obiegł uwielbianego wodza, że kasztanka
jego kroku stąpić nie mogła. Belinę i jego ułanów obrzucono kwiatami. Pułk
stanął w szeregach na rynku, poczem zaczęło się rozkwaterowywanie. Kwa-
termistrze pułkowi mało mieli pracy, gdyż publiczność wprost rozchwytywała
strzelców do swych mieszkań. Goszczono ich najserdeczniej, zaszczytnem było
dla najuboższego przyjąć u siebie strzelca i dać mu możliwe wygody; od-
stępowano jedyne nieraz łóżko w mieszkaniu.

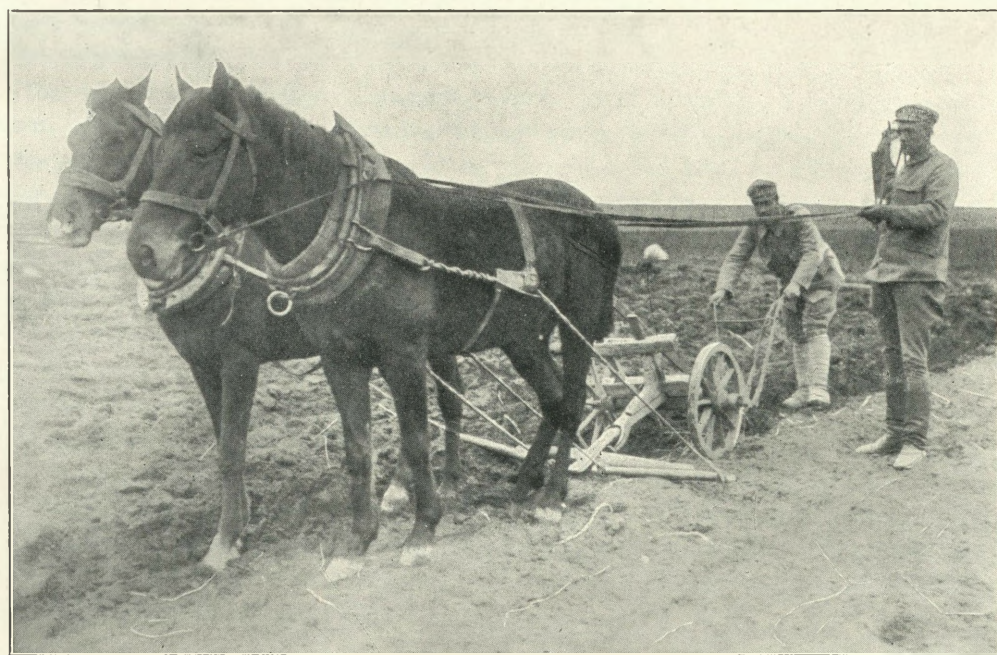
Nazajutrz pojawiły się na murach miasta odezwy zastępcy burmistrza. Mia-
sto nasze ma zaszczyt gościć Legiony polskie — zwracał się on do mieszkań-
ców Sącza — a ponieważ zbliżają się święta Bożego Narodzenia, korzystajmy
ze sposobności, by dać im taką gwiazdkę, jakiej potrzebują. Najpiękniejszym
darem będzie ciepła odzież, bielizna i t. d. Zaraz zawiązał się komitet pań dla
zbierania darów; postanowiono urządzić choinkę świąteczną publicznie na rynku
i obdarować każdego żołnierza.

Tymczasem twardej los wojny przeciął plany, gdyż po kilkudniowym wy-
poczynku pułk ruszył 20 grudnia do dalszej walki, ruszył z muzyką i śpiewem,
żegnając życzliwe miasto, wzajem żegnany serdecznie przez całą ludność gorą-
cemi życzeniami zwycięstwa.

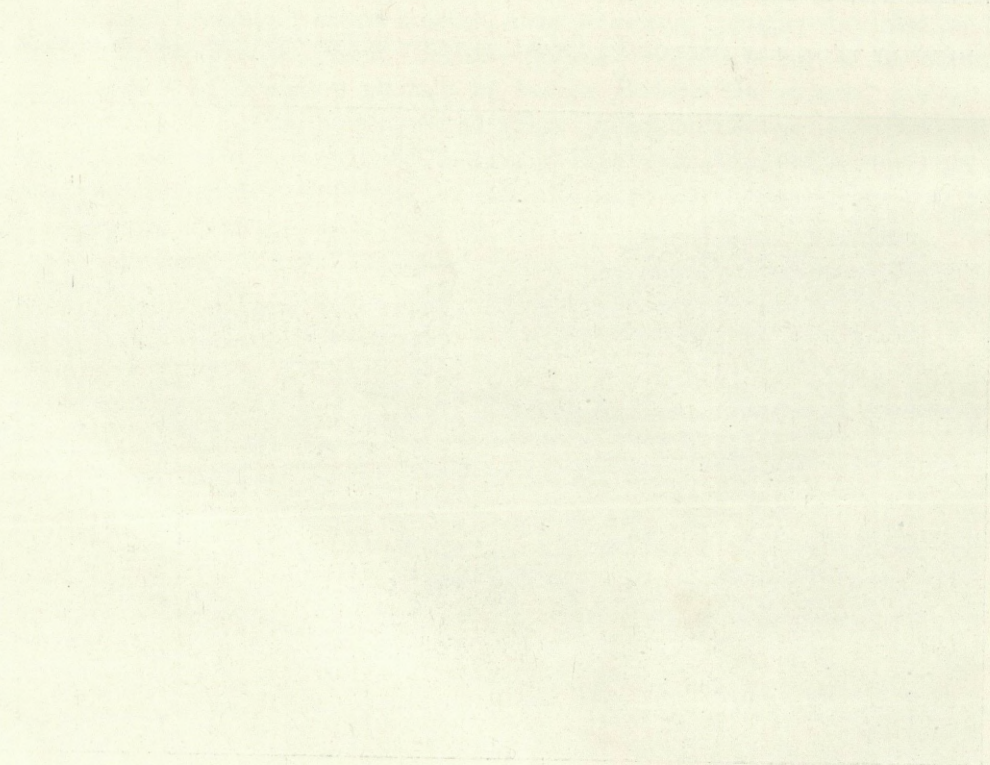
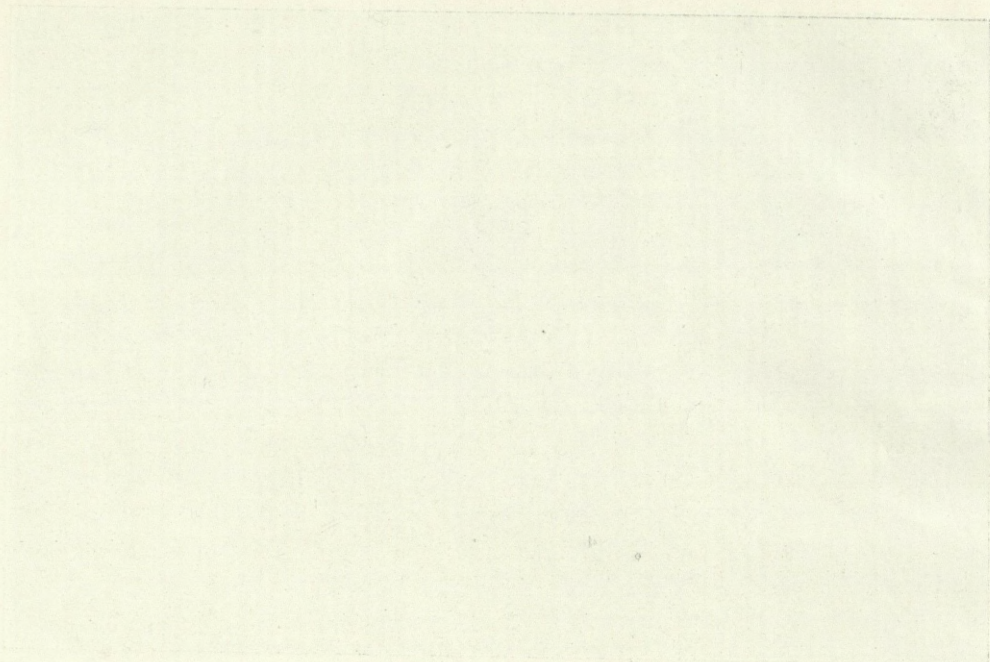
S. B. P.



NACZELNY WÓDZ ARMII AUSTRO-WĘG. ARCYKS. FRYDERYK W ROZMOWIE Z BRYGAD. PIŁSUDSKIM.



Z POMOCĄ LUDNOŚCI.



Łowczówek.

Dzień wigilijny zapowiadał się dziwnie uroczyście. Sandeczanie zapragnęli smutny w tym roku ten dzień radości spędzić wraz z młodzieżą, która krwią swą też przyczyniła się do ratowania kraju od nawały kozackiej. Wieczór wigilijny zbliżał się w barwach dotąd niebywałych.

Tymczasem trzeba było wyruszyć niezwłocznie. Niemiła niespodzianka wszystkich zaskoczyła. Rozżalone oczy żegnały nasze szeregi, zdążające na wschód. Szybkim marszem trzeba było stanąć nad rzeką Białą pod Łowczówkiem.

Nad zagięciem rzeki rozsiadła się góra, panująca ponad całą okolicą. Silny opad zbocza pozwalał mimo zalesienia góry obejmować daleki widok aż po Tarnów. Od wschodu i południa szerokie słały się polany, objęte dwoma wąwozami, przez które płynęły potoki.

Zadaniem pułku było odzyskać stracone pozycje, które biegły północnym zboczem góry.

Zapadała noc.

Nasi spoczęli na drodze. Znużenie rzuciło ludzi w śnieg; z wyciągniętymi nogami, oparci o plecaki, z odrzuconymi głowami w tył, przymknąwszy oczy, wypoczywali, oddychając głęboko, jakby dla nabrania tchu na długie godziny zmagań, które ich czekały. Była cisza dookoła, słyhać było jeno chrupanie przemarzłych sucharów, rwanych zgłodniałymi zębami, i tu i ówdzie dobre słowa przestrogi przed leżeniem w śniegu, zwrócone ku tym, którzy ze zdrowiem nie domagali. Mróz stopniowo przenikał zagrzone w drodze ubrania, zimną łapą zdradliwie posuwał się po grzbietach, wysysał resztki sił i morzył snem. Jakby febryczna wilgoć przenikała całe ciało. Szczęki żuły suchary, jakby nadmierną szybkością ruchów chciały odegnać ziąb. Zmęczenie stóp jakby odpływało w kolana. Przemozna leniwość obsiadała zmęczenie ramion.

Tymczasem dwa bataliony poszły do pierwszej walki. Wkrótce gęsty trzask karabinowy wskazał, że nasi weszli w ogień. To batalion Herwina, idąc odkrytą polaną, natknął się na silny opór, ściągając na siebie uwagę przeciwnika. Podczas zaś tego batalion trzeci w zupełnym milczeniu posuwał się w las ruchem okalającym.

Troska o tych, którzy już są w ogniu, w takich momentach dziwnie się jednoczy z myślą, że i samemu za chwilę może przyjść wyciągnąć nogi w poziomkę. Niejeden kontroluje, czy ma w porządku broń, inny opatruje zapasowy bandaż, który się zdać może sobie albo sąsiadowi; inny zjada ostatniego suchara, znajdując w jedzeniu najwyższe ukojenie i czujnymi oczami śledzi teren, przez który przechodzi, aby poznać nowe otoczenie dla tem pewniejszego spełnienia zadań, które mu losem przypisać mogą; inny znowu idzie, jakby go nic innego poruszyć nie mogło, jeno ta myśl, że za chwilę walczyć będzie ze śmiertelnym wrogiem. Taki nagły wymarsz do walki ma w sobie jakąś groźną zło-wróźbną, która każe w milczeniu iść nawet tym, co w ogniu zwykli dowcipkować. To niechęć utraty życia zмага się z poczuciem konieczności spełnienia powierzonego zadania. Dopiero widok pierwszego rannego przesila wrażenie; myśl oswaja się z tem, co oczy z brutalną prawdą widzą, i sprawa, dla której w bój się idzie, odrazu daje tę moc zdzierzenia, którą nieledwie w części zastąpić może długa żołnierska tresura posłuszeństwa swojemu szeregowi.

Ponad garbami gór gęste granatów pociski zarysowały kontury krzywizn równie groźnych, jak te, co wśród lasów rozegranych wrzawą walki wchłonęły nasze zastępy. Fala wrzawy i zmieszany szum działającej broni wszystkich gatunków podnosiły się kilkakrotnie, by nagle zapaść w niepewne, męczące milczenie, rozlane wraz z ciemną nocą. Żołnierze poszczególnych oddziałów pragnęliby przeniknąć ciemności, poza którymi kryje się zagadkowa tajemnica losu towarzyszy. Każda minuta niejasnego milczenia, zapadłego na linii boju, przewleka się w takim położeniu w męczącą udrękę. Ukojeniem przychodzi stwierdzenie obecności każdego, za którego młode życie wzięło się odpowiedzialność twardą na siebie. Zatraskane ręce w ciemności odszukują tych drogich głów i ramion sobie powierzonych, a myśl biegnie utkwiona w zadaniu żołnierskiem, które dostało się do spełnienia.

Nieprzebite ciemna noc zaległa cmentarnie ciche wzgórza.

Z kolei wrzawa zaczęła się wzmacniać dookoła ubogiej zagrody wiejskiej, stojącej na zagięciu góry. Tu rozsiadł się sztab szefa Sosnkowskiego, któremu przypadła główna komenda. Ze wszystkich stron po omacku, błędząc nieraz w ciemnościach, ściągali jedni z raportami, inni po rozkazy, to znowu odprowadzający transporty jeńców. Okazało się, że oskrzydłający atak zakończył się pomyślnie. Trzy linie drutami ubezpieczonych okopów wzięto bagnietami z półtysiącem niewolnika. Dwustronnym atakiem zaskoczono tak dalece co dopiero tryumfującego wroga, że stracił nietylko zdobyte pozycje, lecz i sztab cały. To drobny patrol z siedmiu ludzi zagarnął zniemacka kierowników benderskiego pułku. Ciemności nocy ukrywały liczebną mniejszość naszych szeregów; ciemności nocy ukryły przed oczami wroga przemęczenie naszych chłopców,

wycieńczonych pięciomiesięcznymi bojami; ciemności nocy ukryły wreszcie komizm położenia, kiedy drobne patrole brały setkami jeńca i nałaziły gromadami na siebie, odprowadzając wziętych. Po strasznym błocie, rozdołach i wybojach, wywracając się po rozpadlinach, wyszarpanych granatami, umorusani krwią i błotem, znużeni pracą i pragnieniem, przesyleni wilgocią mglistej nocy, zdążyli, by szybkie złożyć wieści z pola walki i pójść dalej ku powierzonym sobie powinnościom.

A u komendanta gorączkowymi oczami śledzono każdą linię nakreślonego rozkazu. Martwa mapa każdemu roiała się w oczach wieloma pomysłami, które teren podpowiadał. Każdą linię uzyskanych pozycji szybko osnuwano nowymi zamysłami, które zmierzały do ich utrzymania, do ich wreszcie przesunięcia naprzód. Bo każdy krok urzeczywistniony pociąga za sobą niezłomne następstwa i zwiększa zadanie, wiążąc każdą wartość terenu z już uzyskaną, a krępując tem, co już się stało, żąda coraz to bardziej stanowczej decyzji w wiązaniu poszczególnych wyników i możliwości ku ostatecznemu atakowi, który rozstrzyga o wartości całego wysiłku.

Na drugi dzień rozwinięto szyki na najbardziej rozpiętej linii frontu, aż do zużycia rezerw do ostatniego żołnierza. Trzy dni i trzy noce bez wytchnienia i bez zmiany trwała walka na całej linii w najgorętszym ogniu. Piekło rozmaitego kalibru armatnich pocisków, świsty, przesywające powietrze w przeróżnych kierunkach, łupanie niezmiernej ilości karabinów maszynowych, bijących ekrazytowymi pociskami, które z trzaskiem łuskały gałęzie drzew, wznoszących się tuż ponad okopami, wszystko to było niczem wobec wysiłku stałej walki, oko w oko. Okopy bowiem biegły o trzydzieści kroków odległości. Czujne, drapieżne wypatrywanie każdego nieogłędnego ruchu w przeciwnym okopie z obu stron powodowało wybuchy ognia, zdwojonego szybkością. Konwulsje konających, trwanie w okopie w sąsiedztwie trupów najdroższych towarzyszy; bezsenne w mrozie i głodne wytrwanie szeregu dni i nocy wobec odświeżanego, a liczebnie stale silniejszego nieprzyjaciela, wreszcie trudności z dostawą amunicji i odprowadzaniem rannych, wszystko to niepomiernie zwiększało grozę położenia. W takich warunkach odparto szesnaście ataków na bagnety. Wzdłuż okopów co dnia roiała się od czynów, świadczących o wytrawności żołnierskiej. Spokojnie dotrzymywano placu. Gdy zabrakło amunicji, brano zdobyczną broń rosyjską i, leżąc na brzuchach pod ogniem, zapoznawano się wzajemnie z użyciem obcego systemu broni, aby wytrwale zużyć te nowe systemy. Z godnością trwano w okopie; gdy było za gorąco, zrywano się do walki na bagnety, aby potem nadal wytrzymać na powierzonej pozycji. Stępiła wrażliwość na ból i jęki otoczenia, na widok konania i przedśmiertnych pożegnań, pasowała tu na prawdziwych żołnierzy.

I ginęli tu ludzie z godnością, która już nie pozwala rozłzawiać się nad ich grobami. Kędzierski, Bojarski, Urzupis-Zagórski skończyli tu śmiercią żołnierzy, którzy do ostatniej chwili przytomności nie zatroskali się o życie własne i, konając, jeszcze dawali swoim podkomendnym ostatnie rozkazy i rady. Ginęli inni z młodzieńczą brawurą, jakby to był moment spełnienia najtajniejszych upragnień, a inni ginęli bez jęku, cicho, bez słowa pożegnania, dziwnie skuleni w sobie, jakby tem skupieniem chcieli zakłąć pozostałych do zjednoczenia wszystkich narodu wysiłków, które jedynie odkupić mogą wartość ich młodego życia. Ginęli inni, jakby zaskoczeni w pędzie wiary w swoje własne życie i wartości jego, a ostatnim gestem rzucając w dal tę pewność, że poprzez ich skony skupi się odwaga narodu, woła czynu i życia silniejszego, aniżeli najtęższa śmierć prawowitych jego synów. Ginęli inni z żalem w oczach do losu, który nie dał im spojrzeć w rozbudzony naród i wejść jeszcze w jego przyszłą pracę. Ginęli wreszcie śmiercią tak niezbadaną, że nic już tajemnicy ich młodego życia nie rozewrze.

Stu ich tak zginęło.

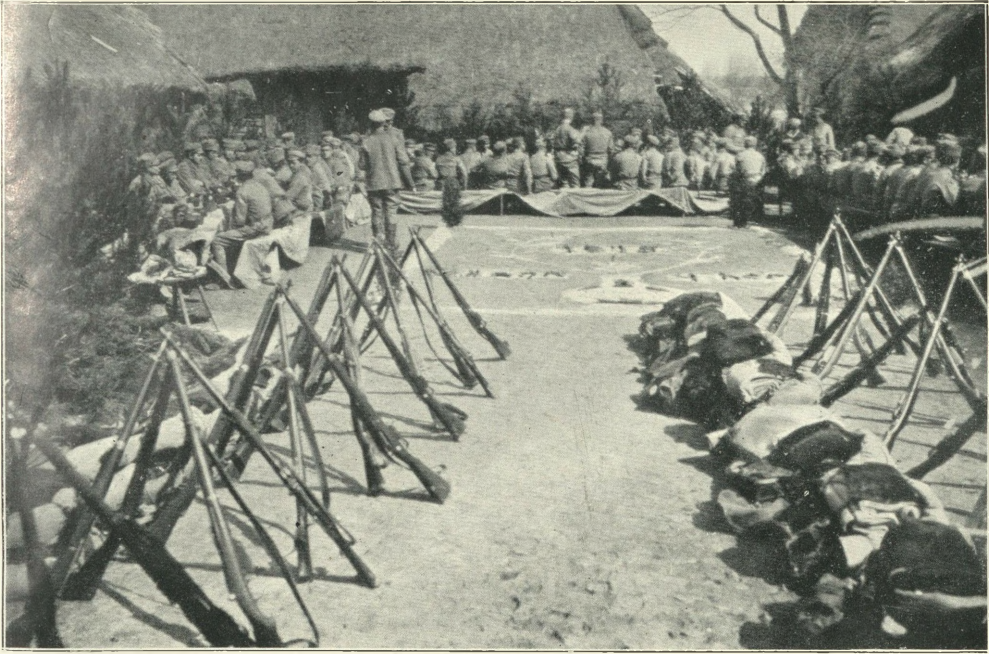
We wspólne mogiły, warstwami jednych na drugich, słomą prześcieliwszy, wrzucono ich pokotem.

Cześć ich zacnej pamięci.

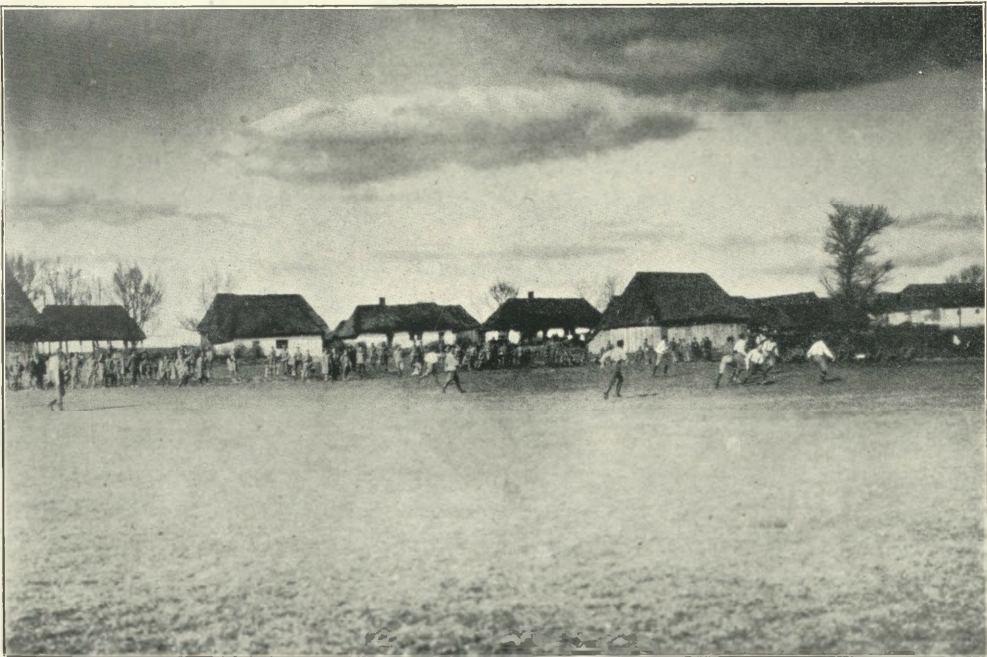
Wieczorem na całej linii rozbrzmiała tradycyjna pieśń: był to bowiem dzień wigilijny. Na odgłos pieśni wzruszyły się stare, wierzące serca rosyjskiego żołnierza: zaprzestano ognia. Uroczysty hymn „Bóg się rodzi“ płynął od gór na ironię śmiertelnemu żniwu. Zdala migały płaczkliwie krocie świateł Tarnowa; mrugały te światła jakby od serc mieszkańców chciały tym chłopcom przesłać zaproszenie, wdzięczne, serdeczne im pozdrowienie. Jak „Boże drzewko“, obiecana radość dzieciom, tak światła te wgryzały się tęsknie dzieciom Tarnowa, które w szeregach naszych licznie i dzielnie o rodzinne gniazdo bój staczały.

A potem granaty waliły bez przerwy, roznosząc wszędzie straszne spustoszenie. Nieraz trafiony okop momentalnie zamieniał się w obronny bastion, w którym wyzyskano jako wał ochronny wybuchem zwałoną ziemię. Tu i tam padali ranni, tu i tam leżeli jeno ogłuszeni albo odrzuceni. Od jednego pocisku wyleciało w powietrze rozdartych jak snopy trzech serdecznych z ław szkolnych kolegów.

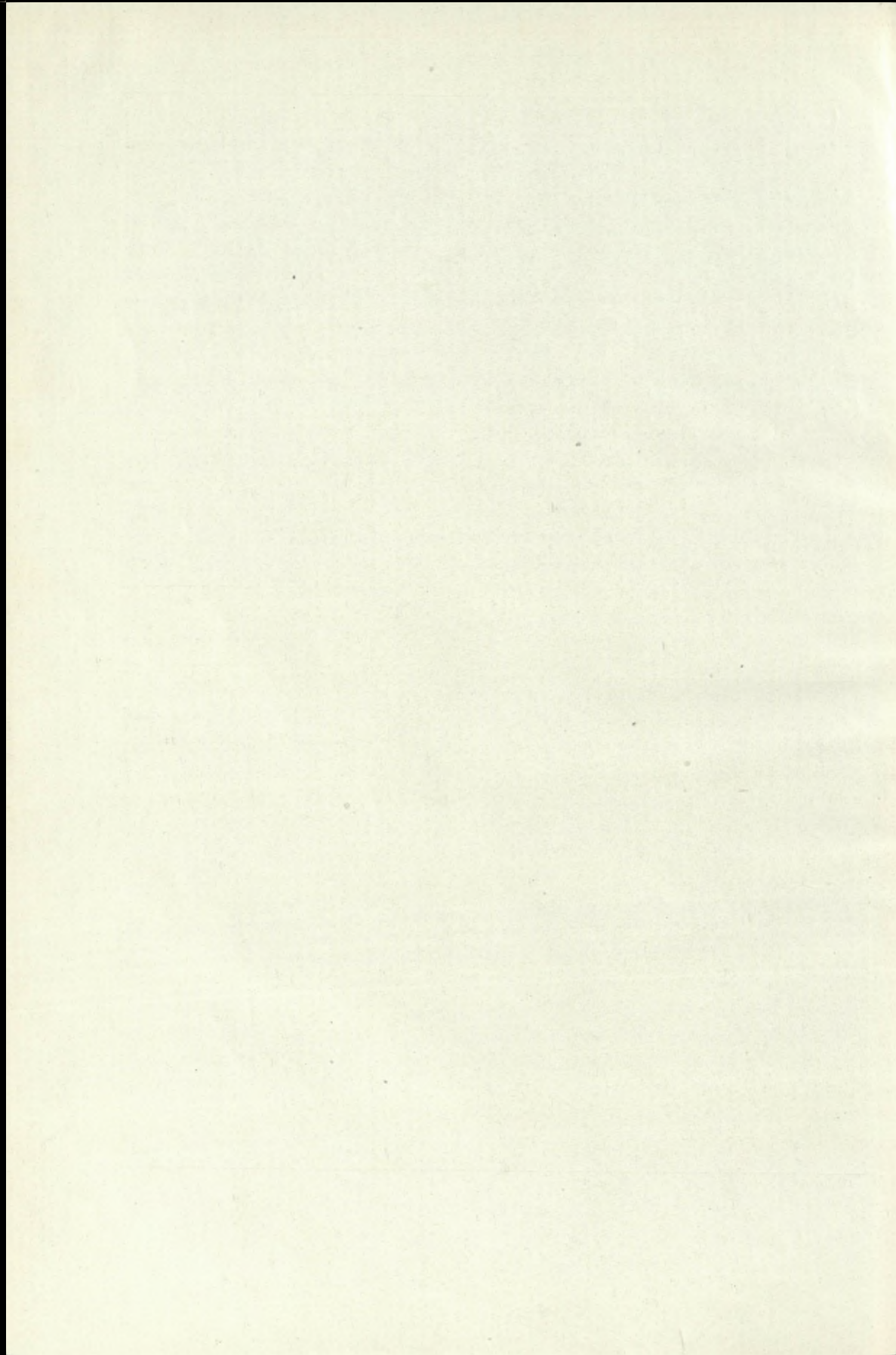
Nie lepiej było poza linią. Środkowy punkt sztabu, jak i miejsce opatrunkowe były przcz cały czas pod silnym ogniem tak dalece, że rozkazy nieraz nie dochodziły z powodu ubicia posłańców. Zapach krwi i trupy szereg już dni leżące, przesycaly las cały odrębnym zaduchem, nieodłącznym towarzyszem walki. Śmierć i rany wszędzie tu osiągnąć mogły. Miejsca dla ukrycia koni



ŚWIĘCONE.



W PIŁKĘ NOŻNĄ.



i jaszczyków często też musiano zmieniać. Nieubłagany trud dniem i nocą jednak gębił ludzi i zwierzęta. Kotłowało na całej górze.

Tak przyszedł dzień Bożego Narodzenia.

Przez cztery dni walcząc z doborowym żołnierzem, przysłanym umyślnie dla przełamania tego frontu, utrzymano pozycję w warunkach ciężkich, kiedy to znużonego żołnierza nie można było złuzować świeżym, kiedy każda dostawa najmniejszej strawy czy amunicji połączona była z wielkimi trudnościami i niebezpieczeństwem, kiedy komunikacja wewnątrz walczących szeregów była prawie że udaremniona.

Dobry wypadek zrządził, że odcinki najbardziej zagrożonego frontu spoczywały w rękach dwóch wytrawnych praktyków: kapitana Berbeckiego, który za sobą miał ciężkie doświadczenie z wojny japońsko-rosyjskiej i kapitana Rylskiego, który za sobą miał boje Boerów z Anglikami. Dzięki temu pułk wyszedł w całości w momencie krytycznym, kiedy z powodów od siebie niezależnych znalazł się w swej skutecznej walce na froncie odciętym i osaczonym od prawego boku. Rozkazy do odciętych już dojść nie mogły.

Kiedy lewoskrzydłowe bataliony zdołały ująć od osaczenia, na prawem skrzydle z trzech stron zaatakowany Rylski potrafił natychmiast zatoczyć wielki łuk, stopniowo zwężający się w daleki klin, przez którego szyję kolejno odpłynęły kompanie, cofając się właśnie w kierunku nieprzyjaciela, odcinającego im odwrót. W ten sposób do ostatniej chwili wycofywane kompanie współdziałały z pozostającymi, szachując równocześnie nieprzyjacielskie wojska, które usiłowały rozerwać pozostałe na pozycji nasze bataliony. Tak odpłynęli wszyscy. Pozostał się jeno Mikołaj Szyszłowski. Kompania jego szybko zmalała do liczby siedmnastu, gdy resztę odprawił celem zebrania rannych z pośród innych kompanii. Z tą małą garścią istotnie dzielnych żołnierzy z determinacją ostateczności wytrwał wobec ogólnego potopu, aby się wreszcie podstępem bez strat wymknąć z osaczenia.

Równocześnie w najcięższych warunkach wycofać się musiał batalion kapitana Berbeckiego.

Kiedy ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że batalion jest odcięty, zostało cofnąć się do lasu. Zadziwiającem tu jeno było, że nasi żołnierze i w takim nawet położeniu zachowali dość zimnej krwi, aby stwierdzić, czy wszyscy są już zgromadzeni, zanim ustąpiono z pola. Marsz lasem był tem uciążliwszy, że najmniejszy nieład mógł udaremnąć wymknięcie się z pośród pierścienia nieprzyjacielskiego, który już już miał się zamknąć. Mgła była pomocą, gdy przez szyję sto kilkadziesiąt metrów szeroką, odpierając wśród ostatecznych wysiłków ataki na bagnety, z wyczeraniem wszystkich środków zabiegliwości i współdziałania poszczególnych oddziałów, przedarto się poprzez wąwóz. Bez-

względna odwaga komendanta, karna ofiarność żołnierzy, poszanowanie własnej godności, przede wszystkim umiłowanie tej idei żołnierskiej, której wypieczętowanie głęboko w sercu legło naszym chłopcom, prowadziły te ostatnie szeregi żołnierzy, którzy nawet w cofaniu się stwierdzali słusność zaufania w nich położonego.

Bo, mimo wszystkie wady narodowe, tkwi w tych młodych sercach prawdziwa dzielność, która każe wierzyć w przyszłość lepszą, prawość bojowniczą, posłuszeństwo w obliczu nie rozkazu, jak raczej wspólnej idei i zdolności umiærania aż do zaprzaństwa wobec osobistego życia.

Ci ludzie naprawdę chcą zwyciężyć.

Ci ludzie wiedzą, że jeno poprzez krew idzie odkupienie. Dorosli oni, aby ich Wódz mógł do nich mówić słowem twardem: „Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziale, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkimi, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamięć o nich niech zawsze bliską będzie naszemu sercu! My zaś bądźmy gotowi do dalszych walk i bojów, z których, jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swem gronie, lecz zawsze z honorem.

„Zyskaliście nową sławę i nowy liść wawrzynu wplećcie do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sławy, której służymy, dziękuję wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny, towarzysze broni, że Wami przywodem, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, męźnych znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszednimi“.

W Piotrkowie, 5 maja 1915.

Adam Dobrodzicki.

Wyprawa sandomierska.

Nad falistym terenem pińczowskiej ziemi rozsiadła się góra Skowronno, popod którą wśród szerokich bagnisk leniwie płynie głęboka Nida. Na rzece sterczą tu resztki mostu, wyzyskiwane przez patrole, zapuszczające się na drugą stronę rzeki. Między Imielną a Pawłowicami rzucone były nasze okopy tuż nad samymi bagniskami.

Okropne błota i marcowa szaruga śniegu z deszczem początkowo czyniły tu pobyt nieznośnym, zwłaszcza, że walk prawie nie było. Armaty sobie jeno stale rozmawiały, a ciągle patrole miesiły błoto rędzinowej ziemi.

Nadeszły wreszcie ostre mrozy. Trzeba było podwoić czujność, bo bagna i rzekę lodem ścięło. Za dnia wrzała robota pod ziemią, gdzie poszerzano ziemianki, przesuwano częściowo okopy naprzód, by skrócić naszą linię obronną; po nocach zaś drutowano, rzucano zasieki, bito „hiszpańskie konie“, zwiększając obronność pozycji. Patrole, korzystając z zamarzniętej rzeki, często robiły wyprawy pod rosyjskie okopy i bywało, że niejeden musiał się na brzuchu wyczolgiwać wśród warczących kul, obitych od lodu. Szczęście jednak z nami chodziło i strat w szeregach nie było. Rozzuchwaliło to chłopców; poczęli lekceważyć wroga i wylazić na odkryte miejsca. Dzięki to temu zginął jeden niepotrzebnie.

Nagle przyszedł po mroźnym marcu pogodny kwiecień. Siedzenie w okopach poczęło się mocno dłużyć. Z nudów zaczęto uprawiać rzeźbę, malarstwo i poezję, z nudów zaczęto bębnić w karty. Starszyzna chodziła jakby struta: bo to trawiło się czas bez wojskowej satysfakcji, odciętym od jakiegokolwiek akcji wśród narodu, będąc przywoźdzonym do tych kilku wynędzniałych wiossek. Posępność zaglądała w serca, a tęsknota roiła rozmaite wyprawy i plany na dni, które przyjść musiały. Dogryzło to już wszystkim tak gruntownie, że wszystkich ogarnęła furja footballowa. Potworzyły się drużyny i wzdłuż całej linii zaczęto wierząć nogami.

Nadeszły święta wielkanocne. Takie drugie pewno już nie przyjdą. Nadzieje na losy wojny były najlepsze; robiono gorączkowo przygotowania do przeprawy,

ciosano mosty, zwożono pontony, zarządzono pogotowie do wymarszu. Przyszła godzina rezurekcyi. Pod mierzwińskim kościołem stanęły nasze szeregi. U Grobu Pańskiego stanęli polscy żołnierze tak dawno, dawno już w godzinie takiej niewidziani. Szczera, wzruszona pieśń potoczyła się po dolinie razem z kadzidłami; uderzyły salwy. Nasz lud z naszym żołnierzem pomodlili się wspólnie. Dobry to był wieczór. Wesole były to święta. Batalion batalionowi, miejscowa ludność nam, a my tej ludności składaliśmy wizyty. Świętowano za wszystkie czasy. Sypały się pieśni doraźnie komponowane; zapijano różne zjadliwości nowe i minione. Kwitnęły życzenia, którym trzeba będzie setek lat do urzeczywistnienia. Radość tryskała z ludzi.

Wiosna biegła szybko. Razem z bujnością natury podnosiła się ochoczość w szeregach. Co kilka dni robiono jakąś zawadyacką wyprawę. Raz w biały dzień zabrano broń z okopów rosyjskich. Nocą przechodzono przez szczątki mostu zwalonego i poza rzeką łowiono posterunki rosyjskie. Zdobywano w ten sposób cenne wiadomości. Łapano na arkan przez rzekę żołnierzy lub zaimitowanymi atakami wywoływano straszliwe kanonady. Moc amunicji wyrzucano wówczas na nas bezskutecznie i to właśnie miało się na celu. I takie kanonady to tu, to tam zrywały się prawie codziennie. A kiedy ucichały salwy, po ziemi smagały reflektory, czujnie obmacywały każdy dogodniejszy dostęp ku rzece, śledziły każdy krok przygotowawczy.

Noc 3 maja obchodzono uroczyscie. Kompania Wojsznara poszła za rzekę. Wyprawa ryzykowna, na której łatwo można było być odciętym. Poszli po śmierć lub zwycięstwo. W ciszy przeszli przez rzekę. Biegiem dopadnięto do grupy wysuniętych okopów rosyjskich. Tu zaskoczonych w części wykluto, w części (62) wzięto żywcem za łby i nogi, powyciągawszy z ziemianek. Nie wielu jeno myślało o oporze. Najście spadło na nich tak nieoczekiwanie, szybkość ruchów była tak nie do uchwycenia, sprawność ataku tak niezawodna, że bez żadnej straty z naszej strony i bez wystrzału atak we dwadzieścia minut przeprowadzono. Zabrano broń i, wysadziwszy w powietrze okopy, cofnięto się za rzekę.

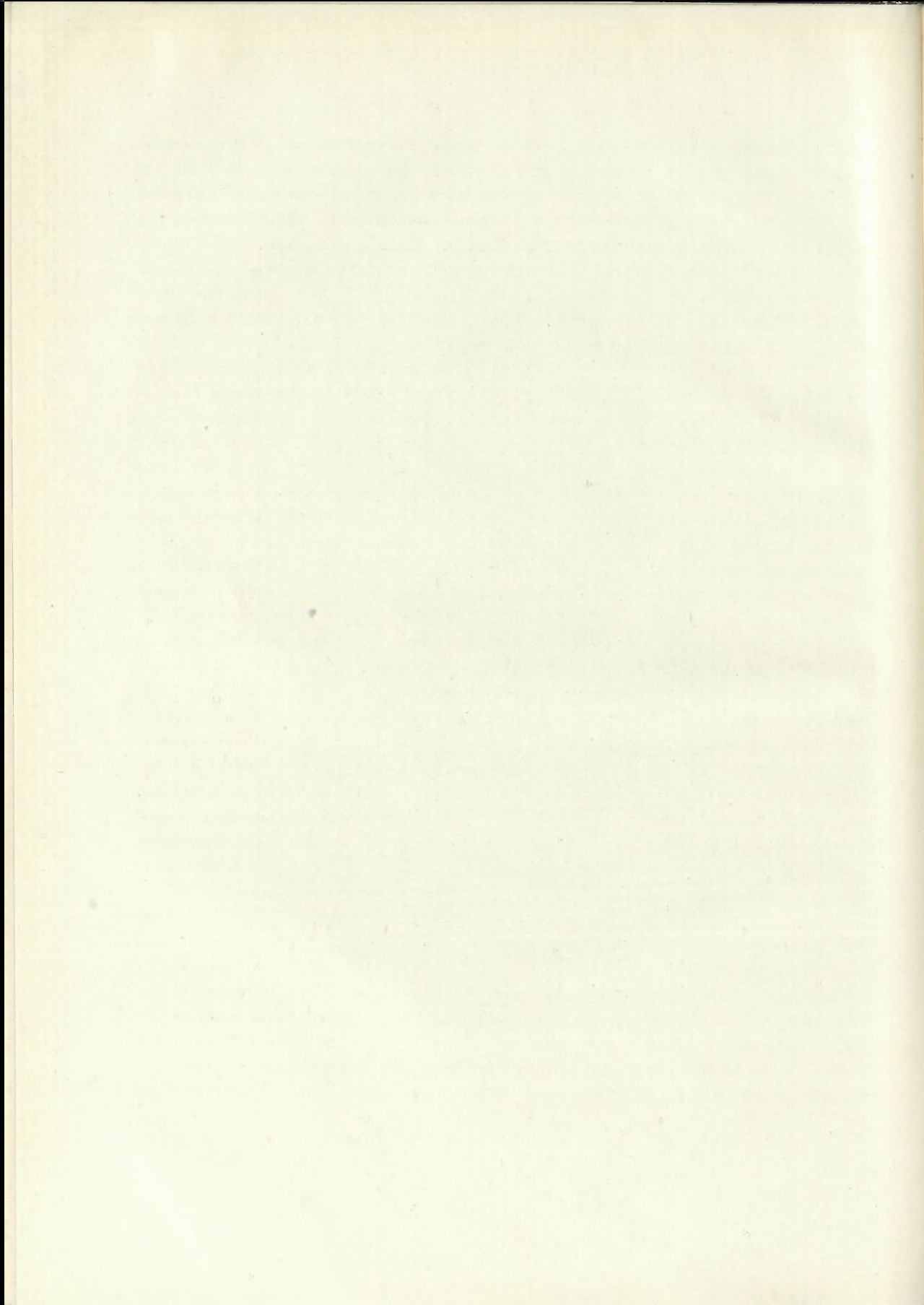
Wybuchy przy wysadzeniu szańców wywołały groźną kanonadę. Przy takiej orkiestrze przeprawiali się nasi z powrotem przez rzekę.

Wreszcie nadeszła wiadomość o przełamaniu frontu rosyjskiego nad Dunajcem. Ruch zrobił się wielki.

Wszyscy gotowali się do ruszenia naprzód. Z niecierpliwością wyczekiwano rozkazu ataku. Zauważono, że w okopach rosyjskich pojawiły się kawaleryjskie spodnie, co wskazywało, że piechota już ustąpić musiała. Jedenastego maja wysłano patrol. Śledzono jego kroki z bijącymi sercami, gdy samotnie zbliżał się do rosyjskich okopów. Z wrażeniem bezbrzeżnej ulgi stwierdzono, że nasi



OTTOKAR BRZOZA-BRZEZINA,
KOMENDANT ARTYLERYI.



chłopcy, przez nikogo nie zatrzymani, posuwają się szybko wzdłuż opuszczonych pozycji nieprzyjacielskich. To było jakby rozkazem do wymarszu. Batalion za batalionem ruszył odrazu za rzekę, poprzedzane przez kawaleryę naszą, która już dnia następnego na drugiej linii rezerwowych okopów starła się z tylnymi strażami ustępujących wojsk.

Z dniem 11 maja skończyła się defenzywna część wyprawy. Zwycięski marsz od Pińczowa po Klimontów, uwarunkowany tryumfem armii sprzymierzonych w Galicyi, miał przed sobą zadanie sforsowania szosy Opatów-Sandomierz, a w następstwie kolei sandomiersko-ostrowieckiej.

Warunki tych walk nie cieszyły serca żołnierskiego. Należały one do najboleśniejszych, bo niezawodnie przekreślających wszelkie rezultaty najbardziej ofiarnych wysiłków. Brygada, która weszła w bój jako rezerwa dywizyjna na poszczególnych odcinkach zagrożonego frontu, nie mogąc się opierać wzajemnie o siebie, poniosła bardzo dotkliwe straty.

Skutecznie odbyły się cztery wielkie ataki. Przyjąwszy rzekę Pokrzywiankę na odcinku Konary, jako podstawę operacyjną, ataki naszej brygady szły wzdłuż bocznego potoku kaczyckiego.

Dnia 16 maja dwiema kolumnami ruszono z Konar na Swojków i Grabinę. Naprzeciwko stała 83 dywizya, w skład której wchodziły pułki: obojański, złoustowski, kozołucki i orski.

Pierwszy nasz pułk, wyzyskując dolinę potoku, poprzedzony straszliwym ogniem artyleryjskim, podstąpił tuż pod okopy Grabiny. Tymczasem pułk drugi poprzez las płaczkowicki na wzniesieniach Beradzia pod silnym ogniem, atakiem flankowym zdobył górę Małżyńską, biorąc łupem wielu jeńca i karabinów maszynowych dwa. Radosny widok rosyjskich żołnierzy, wlokących w niewolę własne maszyny i objuczonych kupami broni, przed chwilą tak groźnej, dodawał tyle otuchy, że, mimo wyczerpania, nastrój podniosły w szeregach umacniał do najcięższych wysiłków. Straszliwe łuny pożarów, okropna groza zniszczenia zbóż stratowanych i zszarpanej ziemi i niepewność zapadającej nocy towarzyszyły szybkim zabiegom obsadzenia zdobytej góry, aby jak najszybciej otworzyć z niej gwałtowny ogień. W ten sposób z flanki osłaniano brawurowy atak na Swojków. Noc już głęboka zapadła, gdy granaty rosyjskie, na wieś padające, wszystkim obwieściły, że już tam nie rosyjskie wojska stanęły. Do rana dnia następnego pozycyi wytrwano. Na szosę sandomierską wysunęły się czujne patrole. Dopiero ruchy taktyczne sąsiedniej grupy spowodowały przesunięcie pozycyi na wzgórze kaczyckie. Wyjechały już kuchnie na front; zjedzono obiad pod ogniem szrapneli i gotowano się do dalszego ataku. Ale z przyczyn nieprzewidywanych musiał na rozkaz nastąpić odwrót. Linię odwrotuznaczono szeregami okopów. Jedna kompania drugiej z pomocą przychodziła, chroniąc

odwrot. Jedni troskali się o innych, nie myśląc o sobie, i tak wszyscy troską byli otoczeni. Ustąpiono wreszcie w płaczkowicki las, poczem przez dwa dni wytrzymało napór na linii Pokrzywianki.

Drugi walny czterodniowy atak na Kozinek rozpoczął się 19 maja. Gdy naszym batalionom przypadło forsować dwa wzgórza: kozinieckie i zakrzowskie, las między nimi położony i lewa flanką przypadła pułkowi armii. Losy bitwy zrzuciły, że i flanką i centrum były mocno zagrożone, gdy wzgórza wskazane były już przez nasze bataliony opanowane. Sytuację ratował (do ostatniego pocisku) Śniadowski, komendant naszej artylerii, który samozwańczo wystąpił od Pokrzywianki z garścią przez siebie skupionej piechoty, zanim wzgórze zakrzowskie nie zostało oczyszczone, a Śmigły mógł rzucić się na opuszczone centrum, by uchronić od zupełnej zagłady piąty batalion, który trzymał się rozpaczliwie na linii Kozinka. Tu legli Herwin i Szyszłowski, których nazwiska były synonimami prawości żołnierskiej. Nastąpiły trzy dni i trzy noce ciężkich zmagania o las koziniecki. Przewaga liczebna przeciwnika była nadmiernie znaczna. Komendant nasz, oceniając te boje, zaświadczył, że trzeci batalion w najcięższych warunkach zachował się po bohatersku, znacząc obficie każdy krok swoją krwią własną i wroga, wyrażając mu rozkazem swym „głęboką wdzięczność w imieniu całego oddziału za dowód, że w najcięższych warunkach żołnierz polski, jeśli nie może wygrać boju, to honoru swego bronić potrafi“. Tu, na najbardziej zagrożonym terenie, w ciężkim boju i chaosie, jako jedyna zwarta grupa na szerokim froncie, placu dotrzymano. Wreszcie przyszli honwedzi z pomocą. Las wzięto. Moc niewolnika zabrano. Po tych ofiarnych wysiłkach, musiano wedle rozkazu ponownie dla wyrównania frontu oprzeć się o rzekę Pokrzywiankę.

Po dwu dniach oporu, pod Konarami rzucono się na Przepiórów i Kamieniec. Smutne to były dni. Po przejściu rzeki trzeba było zdobyć górę przepiórkowską, na szczycie której, oparty o kamienny dwór, zajął pozycję 331 pułk grenadierów. Na flance las płaczkowicki zajęli honwedzi.

Uciążliwymi skokami wśród fal zboża przesuwano się naprzód, nie wiedząc, co spotkać ich może poza każdym łanem. Bujne zagony rodzimej ziemi kryły w sobie niewidziane zdrady. Urągowskiem tu była bujność pól i radość barw pełnego lata, urągowskiem żywiołowy śpiew skowronków, które przywykły już do grzmotu armat, świstu kul i strasznej dokoła pożogi. Jedne zastępy ginęły przed drugimi, wśród zarosłych garbów wzgórza, nad którymi rozszalały się szrapnelowe rakiety. A przecież wzięto to wzgórze, które należałoby forsować jakimś karnym pułkiem, zrekrutowanym z narodowej bierności.

Sforsowano Kamieniec, sforsowano górę przepiórkowską, aby okopać się o 200 kroków przed rosyjską pozycją. Położenie było ciężkie, gdyż z powodu

warunków terenowych od Grabowic dostano się w silny ogień flankowy. W najwyższym natężeniu nerwowem, brocząc krwią w całonocnej walce, musiano się gotować do ostatecznej rozprawy. Walki te dały znaczną ilość jeńca. Ze świtem jednak wśród najboleśniejszych strat trzeba się było przystosować do ogólnej sytuacji. Pod krzyżowym ogniem na rozkaz musiano opuścić ciężko zdobyte pozycje. Zwalono się więc w dolinę rzeki, by znowu utrzymać linię Pokrzywianki.

Nazajutrz, dnia 25 maja, gdy wszystkim ze znużenia ręce opadały, ruszono do ponownego ataku na Kamieniec celem osłony prawego skrzydła sąsiedniego pułku, idącego na Kopiec. Poprzez bruzdy granatami oranej ziemi wzięto las kamieniecki, który dotychczas służył jako punkt zborny dla tych z pośród Rosyan, którzy pragnęli przejść do niewoli. Przez szereg dni zbierały się tu gromady, uzbrojone w białe chusteczki z krzyżem w pośrodku, zaopatrzoną napisem: „tym znakiem zwyciężysz“. To czyjeś serce czule kazało żołnierzom przysyłać takie bojowe upominki. Teraz, gdy straszny ogień wszelkie życie wygnał z lasu szarpanego pociskiem, sły jeno wypróbowane nasze zastępy. Przyszło do walki; wzięto wielu jeńca i broni.

I wszystkie wyteżono siły, aby znowu po raz czwarty stanąć wedle rozkazu do walki pozycyjnej na linii Pokrzywianki. Cokolwiekby front utrzymano.

Równocześnie część brygady, detaszowana do sąsiedniej dywizji, po zdobyciu Wszachowa wytrzymała gwałtowne ataki, które zjednały jej najwyższe uznanie przełożonych, aby wreszcie szturmem na Baranówek zagrozić tyłom nieprzyjacielskiej armii, opartej o Iwaniska. Każdy z tych ataków Konarskich bojów dał liczne zdobycze i łącznie jeńców półtora tysiąca. Po trzech tygodniach upartej walki pozycyjnej ruszono naprzód.

Poprzedzając brygadę, szła nasza kawaleria trzema szlakami, aby się zejść razem pod Lisów, dokąd ich sprowadziły odgłosy walki jednego z naszych plutonów. Tu dnia 23 czerwca, zostawiwszy w ukryciu konie, poszli nasi w tyraliery. Brygada 15 kawaleryjskiej dywizji, zaatakowana z trzech stron, oczyściła wieś Lisów, aby pod gorączkowym ogniem cofnąć się w kierunku na Bidziny.

Zarządzono pościg niezwłoczny.

Po drobnej utarczce pod Stodołami, rozwinąć trzeba było wszystkie siły do ciężkich zmagañ między Wojciechowicami a Kunicami z grenadyerską piechotą rosyjską. Na prawem skrzydle gwałtowną szarżą zdobyto Kunice. Ataki na Bidziny jeszcze dnia tego przeprowadzone, trzeba było cofnąć wobec ogromnej przewagi. Część mocno już w ataku zaawansowanych salwowano flankową szarżą. Tu kawaleria ławą z ogromną szybkością, zmieniając kilkakrotnie kierunek biegu, odciągnęła na siebie uwagę, grożąc w ten sposób odcinkowi Ku-

nic. Pod ich to osłoną, choć z bolesnemi stratami, wycofano nasze tyraliery. Jeny odcięty nasz patrol pod Wojciechowicami został wybity wśród zażartej walki i beznadziejnego położenia. Pomocy tu podać nie było można, skoro atak tam skierowany odrzuciła przeważająca siła piechoty, dobrze okopanej.

Na drugi dzień pierwszy pułk wspólnie z kawaleryą, pod rozkazami podpułkownika Śmigłego, uderzył na okopy pod Bidzinami. Po krótkiej, zaciętej walce okopy były wzięte, nieprzyjaciel zaś odrzucony na Ożarów.

Pod Ożarowem rozstrzygnęła się ostateczna walka o tor kolejowy.

Tu atak był przeprowadzony z taką decyzją i skutkiem, że nietylko wzięto tor kolejowy, ale i następną okopaną pozycję dosięgnęła nasza kawalerya, biorąc żywcem wiele jeńca. Szybko się rozegrała walka pod Wyszniotowem. Gdy równocześnie drugi pułk brygady, prowadzony przez majora Berbeckiego, od lewej flanki wdarł się aż za Strużę, wzięcie Ożarowa było tem samem przesądzone. Wobec tego pozycję rosyjską przerzucono na Karsy, aby po krótkim oporze pod nader silnie skoncentrowanym ogniem zostawić Legionowi wolną drogę na Wisłę.

Po ożarowskich krwawych bojach podstąpiono pod Tarłów. Tu przyszło do straszliwej rzezi. Przy forsowaniu trzypiętrowych okopów, silnymi zasiekami umocnionych, poniesiono straty ogromne. Nadludzkie wysiłki złamane zostały na wałach spiętrzonych przeszkód. Artyleryjski ogień z małą tu jeno mógł przyjść pomocą. Zdawało się, że bez ciężkich haubic linii tu nie będzie można przesunąć naprzód. Tymczasem nocą jeden z naszych batalionów przekradł się między zasieki i z flanki zaskoczył nieprzyjacielskie pozycje; wszystkiemi siłami brygada ruszyła do ataku. Świetne zwycięstwo, uwieńczone wielką zdobyczą, okupiło straty bolesne.

Tak wyłamano sobie dostęp do Wisły. Tu pod Józefowem znowu przyszło do krwawych zmagañ o przyczółek mostowy. Rosyanie stawiali ostatni opór, zasłaniając przeprawę na rzece. Wreszcie spokojne zwierciadło wód rodzinnej rzeki odbiło w sobie znów przerzedzone, ale zwycięskie szeregi.

Tak ziemia Lubelska stanęła otworem.

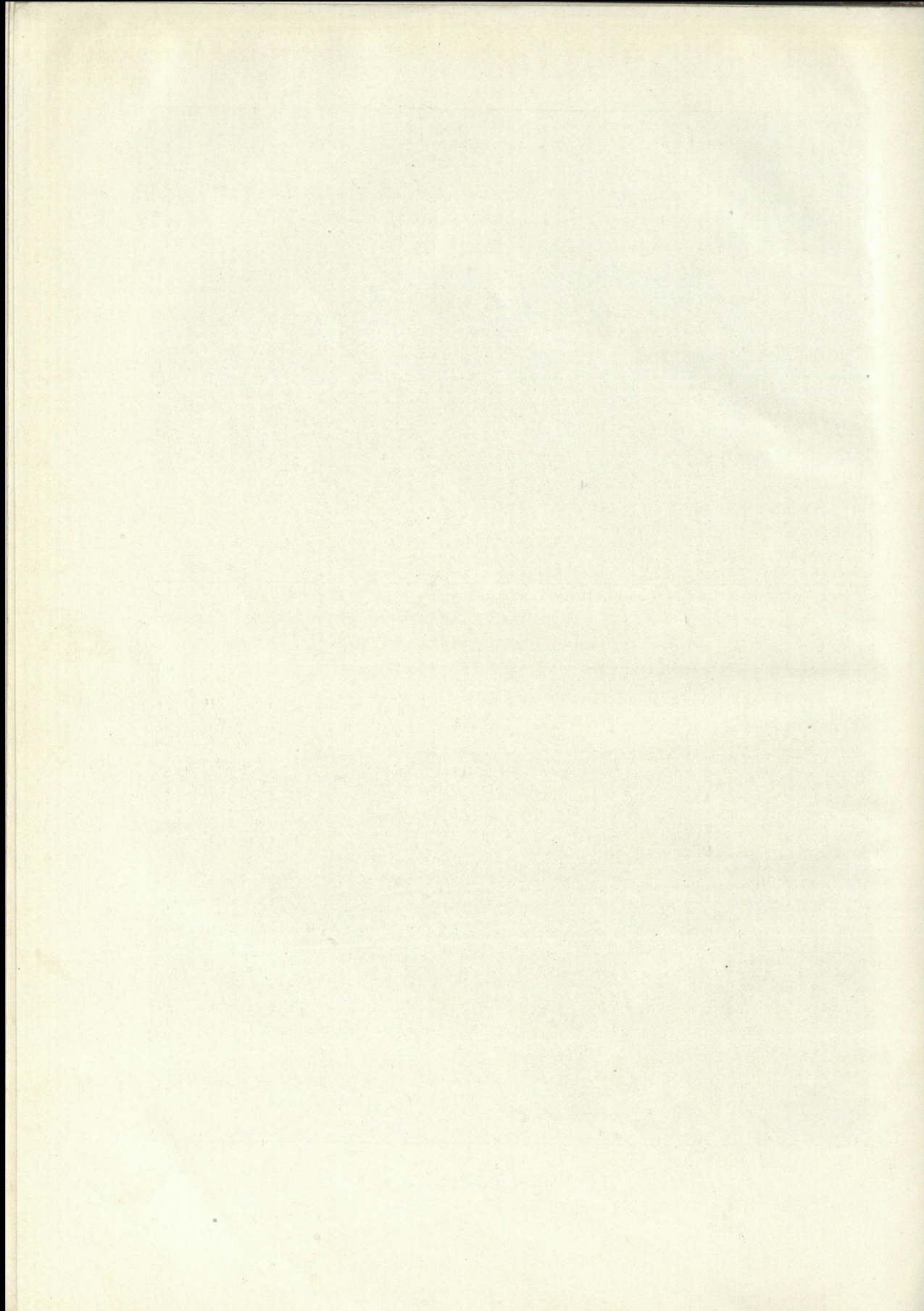
Adam Dobrodzicki.



JEŃCY.



POGRZEB LEGIONISTY.



Jazda brygady Piłsudskiego.

Wytrwale, niczem niewstrzymane i niezłomne wysiłki Piłsudskiego i jego towarzyszy, wykuwających w biernem i zniewieściałem społeczeństwie naszym nowe drogi wojskowej woli i mocy, dały w ciągu ośmiu lat pewne owoce — w chwili wybuchu wojny mieliśmy piechotę. Wprawdzie było jej mało, wprawdzie była źle uzbrojona, licho umundurowana i brakowało jej amunicji, ale bądź co bądź istniała. O jeździe zaś ubogie i niepewne swego bytu organizacje strzeleckie nie śmiały nawet marzyć. W tym kierunku nic nie zrobiono. Oddziały konne przy „Sokołach“ były słusznie, jak się okazało, uważane za związki raczej sportowe, niż wojskowe; z czterech istniejących tylko jeden, najmniejszy, pod dowództwem Marcelego Śniadowskiego zgłosił już 30 lipca 1914 roku swoje przystąpienie do połączonych organizacji strzeleckich i poddał się pod komendę Józefa Piłsudskiego. Dnia 2-go sierpnia oddziałek ten udał się ze Lwowa do Krakowa pociągiem, oddawszy rządowi austriackiemu swe konie, w zamian których obiecano mu dostarczyć innych na miejscu. Zabrał z sobą jedynie rynsztunek i broń. Okazało się wszakże, że w Krakowie koni niema i będą nie prędko. Wobec tego 6-go sierpnia, gdy I-sza kadrowa piechoty wychodziła do Królestwa, dwunastu ludzi Śniadowskiego wyjechało furkami do Szreniawic dla zaopatrzenia się w konie i dla organizowania się od nowa.

Jednocześnie prawie powstaje zawiązek kawaleryi. Władysław Belina-Prażmowski, wysłany 2-go sierpnia z 6 uzbrojonymi strzelcami w stronę Jędrzejowa, aby przeszkodzić przeprowadzeniu przez Moskali tam mobilizacji, nie tylko dokonał tego, lecz powodowany instynktem wrodzonego kawalerzysty i marzący zdawien dawna o wkroczeniu jazdy polskiej, dostał po drodze 5 koni i siedm siodła dla swoich ludzi, którzy stali się pierwszymi kawalerzystami polskimi na linii bojowej, gdyż już 6-go sierpnia tworzyli konną szpicę dla wkraczającej w granice Królestwa piechoty¹⁾. Idzie Belina o parę kilometrów przed

¹⁾ Oto ich nazwiska: Władysław Belina-Prażmowski, Janusz Głuchowski, Stanisław Grzmot-Skotnicki, Antoni Zdzisław Jabłoński, Stefan Hanka-Kulesza, Ludwik Kmicic-Skrzyński, Stefan Dudzieniec-Krak.

kompanią kadrową, zamienia z Moskalami pierwsze strzały pod Słomnikami, zajmuje miasto w imieniu Rządu Narodowego i tegoż jeszcze dnia patroluje w kierunku Miechowa.

Wciąż wyprzedzając piechotę, zajmuje Belina ze swym oddziałkiem 7 sierpnia Miechów, a 9 sierpnia Jędrzejów. Tam oddziałek wzrósł już do 15 ludzi. Z tymi ludźmi Belina udaje się do Kielc w towarzystwie dwóch komisarzy wojskowych — Bernera i Litwinowicza. O 11-tej rano oddziałek stanął pod pałacem gubernatorskim i zajął miasto w imieniu również Rządu Narodowego. Przed południem utarczka pod miastem między Czarnowem i Szydłówką oraz patrolowanie dookoła miasta, a popołudniu bitwa w mieście z usiłującymi zdobyć miasto kozakami i dragonami. W nocy na pozycje pod Czarnówką przybywa oddział (ok. 30 koni) dawnych sokołów konnych lwowskich pod komendą Śniadowskiego, obecnie kapitana artylerii, komendanta V. bat. Legionów.

Odtąd oba oddziały pełnią służbę nieustającą przy piechocie, wywiadownicą i ordynansową. Formalne połączenie następuje dopiero w czasie powtórnego zajęcia Kielc przez strzelców. Połączony oddział wynosił 79 ludzi i 92 konie zorganizowanych w 4 plutony. Dowództwo objął Wł. Belina-Prażmowski, zastępcą jego został Marceł Śniadowski, kom. I. plut. Janusz Głuchowski; kom. II. plut. Maryusz Zaruski; kom. III. plut. Jerzy Sosnowski; kom. IV. plut. Gustaw Orlicz-Dreszer. Adjutantem był Stanisław Grzmot-Skotnicki. Podoficerowie I. plut.: Jerzy Pytlewski, Antoni Jabłoński, Andrzej Strug-Gałecki, Bolesław Wieniawa-Długoszewski; podof. II. plut. Jan Lewandowski, Jan Wysoki-Wojtkiewicz, Tadeusz Bieńkowski, Tadeusz Bernatowicz; podof. III. plut. Skarga Tadeusz. Zygmunt Putiatycki, Karol, Pietruski; podof. IV. plut. Roman Machnicki, Stefan Dudzienic-Krak, Mieczysław Witez-Karski, Henryk Orłęcki-Świderski; Zygmunt Bończa-Karwacki był wachmistrzem szwadronu; weterynarzem Wacław Skulski; lekarzem Ksawery Maszadro. Żadnych taborów w Kielcach jazda nie miała, kancelaryę prowadził częścią sam komendant Belina, po części adjutant jego S. Skotnicki. Służba jazdy w czasie pobytu w Kielcach była uciążliwa i odpowiedzialna; nieustanne i dalekie podjazdy aż po Paradyż pod Sulejowem, do Żarnowa, do Końskiego, Suchedniowa, Skarżyska, Wąchocka, oraz innych miejscowości w znacznym promieniu. Ciągłe utarczki z Rosyanami w celu spędzenia ich z jak największej połaci kraju. Zadanie to powiodło się w znacznej mierze. Ogólna sytuacja bojowa i cofanie się wojsk sprzymierzonych austriacko-niemieckich zmusiły nas jednak do opuszczenia Kielc. Jazda osłaniała odwrót, patrolując jednocześnie wciąż po bokach i jedna z ostatnich przeszła most na Wiśle pod Szczucinem. W Szczucinie, w czasie parodniowego wypoczynku dostała pewne uzupełnienia umundurowaniu i uzbrojeniu. Różnorodne dotychczas odzienie, gdzie obok pięknych, świeżo w Kielcach uszytych mun-

durów, oraz strzeleckich kurtek, znajdowały się też cywilne rajtroki, czapki najrozmaitszych fasonów, nawet tyrolskie kapelusze i meloniki, zaczęło stopniowo ujednostajniać się — pierwszy pluton dostał mundury podobne do dawnych polskich szwoleżerskich i również szwoleżerskie czaka. Miał to być wzór przyszłego umundurowania. Jako broń krótkie manlichery pięciostrzałowe, szable i rewolwer. Ale początkowo większość miała długie manlichery piechoty, które dokuczliwie raniły i odbijały plecy żołnierzom; rewolwery (brauningi) rzadko kto miał, a szable były najrozmaitszego kształtu i pochodzenia, przeważnie szaszki rosyjskie, znalezione w składach wojskowych w Kielcach. Z siodła tylko 25 przywiezionych przez oddział sokoli miało pewną wartość, reszta była to nędza wyjątkowa, zbieranina, rwąca się i rozłaząca nieustannie ku niezmiernej rozpaczycy ludzi i koni. Ładunków było również mało. W Szczucinie stan rzeczy trochę się poprawił. Dostaliśmy wszyscy długie karabiny Manlichera (rok 90) i podostatkiem ładunków.

10-go września polecono pułkowi Piłsudskiego przenieść się do Kozłowa i zająć dla obrony odcinek Wisły od ujścia Dunajca (Ujście Jezuickie).

Piłsudski, postanowiwszy przenieść obronę odcinka na lewy brzeg Wisły, kazał konnicy patrolować Nowy Korczyn, zajęty przez Moskali. W tym celu por. Gustaw Dreszer z trzema towarzyszami przebyli w pław bez koni Wisłę i, strzegąc brzegu z karabinami w ręku, umożliwili reszcie patrolu przeprawę na małym czółenku; napadli następnie niespodzianie na kozaków i przepłoszyli ich, poczem cofnęli się w łozy nadbrzeżne i, odstrzeliwając się, przetrzymali tam do nocy. W nocy na lewy brzeg przepawiła się piechota i zaczęła się słynna ofenzywna obrona powierzonego Piłsudskiemu odcinka Wisły. W tych operacjach kawaleria miała sobie powierzona osłonę brzegów Nidy od Wiślicy do Winiar. Za punkt operacyjny obrał sobie Belina Czarkowy. Pierwszego zaraz dnia (19/IX) konnica nasza przepędziła Moskali z prawego brzegu Nidy pod Kociną, gdzie był szwadron V. pułku orenburskich kozaków. W potyczce zabito sotnika i żołnierza. Drugiego dnia wyparto z Wiślicy szwadron V. pułku huzarów i wysłano patrole w kierunku Buska. 20 września wysadzono most na Nidzie pod Wiślicą. 22-go na umówiony rozkaz energicznego atakowania Moskali, związanego z ogólną sytuacją, napada Belina na Szczytniki i wycina w pień 60 kozaków i dragonów (V. dońsk. pułk. i V. kargopolskiego pułku).

24-go września we dniu przepawia się promem cała kawaleria przez Wiśłę do Galicyi i przez Gręboszów, Lubiczko, Siedliszowice dąży znowu na lewy brzeg Wisły. W Przemykowie (30/IX) dostaje konnica nasza od Austryaków 125 kompletów siodła i tyleż kozuchów dla ludzi. Pod Jagodnikami, przebywszy most na Wiśle, dąży przez Konice-Mosty pod Wiślicę. Tam otrzymuje

Belina od podp. Sosnkowskiego rozkaz wysunięcia się na czoło wojsk austriackich i przeprowadzenia wywiadów na Sandomierz, aż do rz. Kamiennej w Ożarówskim. Jednego dnia forsownym, 100-kilometrowym marszem Belina wyrzuca swój oddział poza linię wojsk austriackich, wchodzi w czucie z nieprzyjacielem, rozbija w Ruszczy patrol huzarów, bierze pierwszym atakiem Koprzywnicę i na drugi dzień rano staje pod Samborcem o parę kilometrów od Sandomierza. Samborzec był broniony przez okopy i artylerię, wobec tego Belina dopiero na drugi dzień wraz z piechotą austriacką przechodzi przez wieś dalej i dociera o kilometr od Sandomierza. Z zajętej pozycji widzi wyraźnie ruchy Moskali w okopach, na moście i, ponieważ zna te okolice wybornie, daje cenne, dokładne wskazówki co do rozlokowania wojsk, broniących Sandomierza. Z pod Sandomierza udaje się z oddziałem do swojej wsi Różki, lecz bawi tam krótko, gdyż ma rozkaz patrolowania nad Kamienną, gdzie ukazali się już Prusacy.

9-go października Belina z oddziałem przybywa do Jakubowic Błotnistych, gdzie wraz z pułkiem wypoczywa dni parę. W tym czasie przychodzi rozkaz od A. K., aby nasza jazda udała się do Kielc na pomoc wojskom niemieckim. W Kielcach dostaje Belina polecenie już od władz niemieckich, aby rozpędziła, względnie wzięła do niewoli zbłąkane koło Szczecna (Chmielniki) oddziały kawalerii rosyjskiej. Po dwóch dniach wraca do Kielc z wyprawy i natychmiast przez Mniów, Radoszyce, Przedbórz, Piotrków ciągnie do lasów Spalskich z podobnym zleceniem. Ale w Piotrkowie następuje zmiana rozkazu i jazdę naszą przez Łódź¹⁾ posyłają do Łowicza, gdzie dostaje się pod komendę 40 K. B. (Saskiej). Z nią idąc wciąż w aryergardzie i w nieustannych potyczkach przez Piątek, Modlną, Sokolniki, Ozorków, dostaje się do Aleksandrowa, skąd Belina zmuszony był poprowadzić swój oddział, t. z. „pasem neutralnym“, między dwiema armiami wojującymi do Częstochowy, gdzie przybył szczęśliwie 30 października. W Częstochowie przyłączył do siebie sformowane tam dwa plutony Wandy oraz Zbigniewa Lewińskiego i ruszył dalej ku Wodzisławowi na połączenie z pułkiem Piłsudskiego. Razem już z pułkiem maszeruje przez Wolbrom ku Krzywopłotom. Stamtąd bierze udział w słynnym przemarszu Piłsudskiego przez miejscowości, zajęte już przez Moskali, do Krakowa. Rola jazdy w tej wyprawie była niezmiernie doniosłą — rola czulków do wymacywania nieprzyjaciela i szukania wśród nich bezpiecznej drogi. Niektóre z tych oddziałków szły na pewną śmierć, wiedziały o tem idąc i uniknęły zagłady, dzięki jedynie przypadkowi. Szczególniej wsławił się wtedy Gustaw Dreszer, który, odcięty

¹⁾ W Łodzi przyłącza się do szwadronu VI. pluton, zorganizowany tam przez wysłanego naprzód Orlicza, ale nie ma nic prócz koni i ludzi; siodła wszystkiego 4; broni zupełnie mało.

od pułku, nietylko przyprowadził swój oddział w całości do Krakowa, lecz wziął nawet po drodze jeńców, wyrwał, że tak powiem, „zab z roztwartej paszczy tygrysa“.

W Krakowie, w słynnych „Oleandrach“, gdzie stanęła konnica, rozpoczął Belina reorganizację swego oddziału, składającego się z 7 plutonów, mających razem z górą 200 ludzi. Utworzył dwa czteroplutonowe szwadrony, połączone w jeden dywizyon. Komendantem I szwadronu został Gustaw Orlicz-Dreszer; komend. II. szw. — Janusz Głuchowski. 14 listopada kawalerya wraz z pułkiem wyrusza do Suchej; 15-go jest w Zawoi, gdzie wypoczywa do 20-go listopada. Z Zawoi kawalerya nasza wysłana zostaje do Jordanowa, aby wykryć, „kto na lewym skrzydle operującej tu armii austriackiej robi zamieszanie“. Była to skombinowana dywizja generała Dragomirowa. Tejże nocy nasza piechota wzięła w Chyżówkach do niewoli wyborowy szwadron z rotmistrzem na czele, 86 koni i 3 oficerów. Dwóch jeszcze oficerów nazajutrz schwyciła jazda, która w głównym boju udziału nie brała. Z Chyżówek patrole jazdy poszły w kierunku Nowego Sącza i dotarły do Słopnic.

W czasie działań na Podkarpaciu kawalerya osłania prawe skrzydło naszej brygady i wysuwa się daleko naprzód na „stracone placówki“ w Białem, w wąskiej górskiej dolinie, patroluje aż do Kamienicy, starając się nawiązać kontakt z lewym skrzydłem armii Boroewicza. 4 grudnia pod Wysokiem uderza nocnym pierwszym atakiem na secinę 32 dońskiego pułku i rozbija go; następnie ma utarczkę pod Trzetrzewiną. W ten sposób w trudnych górskich pochodach i ciągłych utarczkach przychodzi 5 grudnia pod Marcinkowice o 10-tej godzinie rano. Staje tam tylko jeden szwadron, gdyż II. udał się pod Stary Sącz. Wywiad na prawy brzeg Dunajca wykrywa placówkę kozacką z 17 ludzi 32 dońskiego pułku. W Dąbrowie Belina daje rozkaz Skotnickiemu, aby wziął dwa plutony i zniósł albo schwycił placówkę. Rozejrzawszy się wszakże w sytuacji, wstrzymuje wykonanie rozkazu. Jednocześnie Dreszer z jednym plutonem udaje się na Rdziostów pod Nowy Sącz, wykrywa pozycje armat rosyjskich, określa dokładnie ich położenie, podszedłszy ku nim na 1000 kroków, co pozwala naszej artylerii na drugi dzień skutecznie ostrzeliwać nieprzyjacielską baterię i zdemontować jej działo. Wieczorem przybywa do Marcinkowic brygada. Piłsudski rozkazuje Belinie przeprowadzić wywiad na Nowy Sącz. Belina spiesza kawaleryę, i przeszedłszy po balach zniszczony most na Dunajcu, uderza na placówkę w Dąbrowie i bierze do niewoli 3 ludzi i 13 koni. Od wziętych jeńców brygadier dowiaduje się, że do N. Sącza przybył VIII. korpus rosyjski. Artyleria 13 baterii górskiej otrzymuje rozkaz ostrzelać Nowy Sącz z lewego brzegu. Strzały naszej artylerii wzniciły popłoch w szeregach VIII. rosyjskiego korpusu, dążącego ku Rajbrotowi na połączenie z XVIII. korpusem, walczącym

w tamtych stronach z Niemcami. Wobec tego Piłsudski polecił Belinie znowu przeprowić się przez Dunajec i napaść na uciekające, jak się zdawało, treny nieprzyjaciela. Ale zamiast trenów jazda nasza, przebywszy most na rzece, zbudowany w nocy przez naszych saperów, znalazła okopaną na górze piechotę i artylerję rosyjską. Belina kazał natychmiast zsiąść z koni trzem plutonom I-go szwadronu oraz IV. plutonowi II. szwadronu i uderzył na piechotę, ukrytą na górze. Podpor. Wieniawa poprowadził swój oddział w tyralierkę na łoży, w których ukryta była moskiewska piechota, podpor. Skotnicki ostrzeliwał treny i uciekających, a następnie atakujących go Moskali, a podpor. Lewandowski ostrzeliwał artylerję rosyjską, podszedłszy do niej na 1000 kroków, obsługę armat oraz konie przepłoszył i zmusił baterję do milczenia. Bój trwał już około godziny.

Wtem zewsząd zaczęły napływać gęste kolumny Moskali i otaczać z trzech stron nasze znikomo małe oddziały, z czwartej strony za sobą mieliśmy Dunajec. Wtedy Belina nakazał odwrót do koni, ukrytych za górą Kurów. Pod ogniem karabinów maszynowych i salwami rzędistymi piechoty rosyjskiej przeprowiła się nasza jazda wpław przez Dunajec, gdyż most został przez Moskali zburzony pociskami działowymi, poczem musiała obstrzeliwana w dalszym ciągu piekielnym ogniem przebyć dwa kilometry drogi, dostępnej dla obstrzału. Ale zdenerwowana śmiałym napadem i nie wiedząca, z jaką ilością w istocie ma do czynienia, piechota rosyjska źle strzelała, wzięła wysoki celownik i wszystkie kule szły górą; zabito nam tylko 22 konie i raniono 6 szeregowców. Dwóch żołnierzy odciętych zginęło bez wieści na kilka dni, gdyż potem wrócili z bronią i w mundurach, ukryci przez czas pobytu Moskali przez miejscowych mieszkańców. Belina cofnął się przez Białowody i połączył z brygadą w Klęczanach. Był to największy bój naszej kawalerji, jaki miała w ciągu całej kampanji dotychczasowej.

W marszu na Limanową kawalerja osłaniała lewe skrzydło brygady, zagrożone wciąż przez nieprzyjaciela, ponosząc straty w koniach i ludziach. Pod Tymbarkiem znowu potyczka, w Zalesiu — potyczka, w Czarnym Potoku i Łączku — potyczki. W Łączku udało się nareszcie wejść w kontakt z armją Bo-roewicza. Brygada wróciła do Nowego Sącza i zajęła go na parę dni. W słynnej bitwie pod Łowczówkiem kawalerja brygady Piłsudskiego pełniła funkcje łączników i ordynansów.

Stamtąd poszła wraz z całym naszym wojskiem do Rajbrotu i Kęt na odpoczynek. Kwatery miała w Kozach Wielkich i spędziła czas na nieustannych ćwiczeniach, organizacyi trzeciego szwadronu i na doprowadzaniu do porządku swego rynsztunku, umundurowania i uzbrojenia. Z Kóz poszła nad Nidę do okopów, gdzie na równi z piechotą pełniła służbę na zmianę co dni 10.

Obecnie stan służby dywizyonu Beliny wynosi 366 ludzi; w tem liniowych: 12 oficerów, 56 podoficerów, 269 szeregowców. Sanitariuszów: ofic. 2, podofic. 3, szeregowców 4. W taborze 1 podoficer i 19 szeregowców. Dywizyon ma własny telefon. Kancelaryę prowadził wachmistrz Helgut-Tarnasiewicz, obecnie objął ją wachmistrz Węglewski. Belina ma prócz tego dwóch adjutantów: Antoniego Jabłońskiego i Wacława Sieroszewskiego. I-ym szwadronem dowodzi porucznik G. Dreszer, II-gim szw. por. Stanisław Skotnicki, III-cim szw. por. Janusz Głuchowski. W ciągu dziewięciu ubiegłych miesięcy, właściwie do Nowego roku, jazda brygady Piłsudskiego stoczyła 31 większych potyczek, nie licząc utarczek patrolowych prawie codziennych, skoro była na linii bojowej. Da Bóg stoczy ich dużo jeszcze na chwałę polskiego oręża i pożytek polskiej sprawy. Rannych miała przez ten czas 27, zabitych 6-ciu.

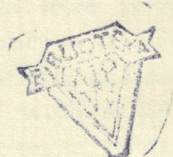
Spokój i błogosławieństwo ich ceniom!

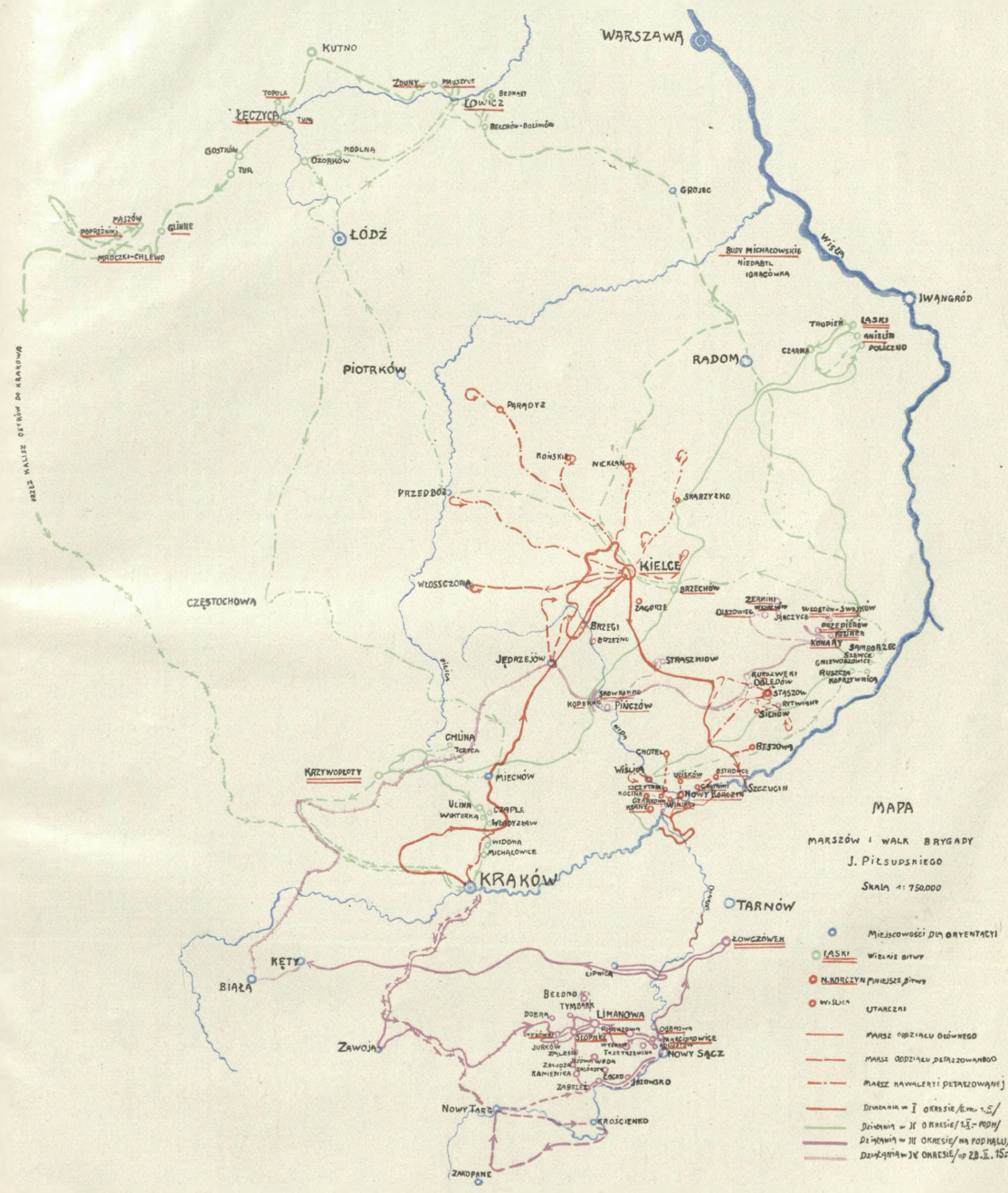
Zagaje, 7 maja 1915 r.

Wacław Sieroszewski.

Spis rzeczy.

	Str.
Wstęp	3
Dziennik działań bojowych brygady Józefa Piłsudskiego	12
Pierwsze bitwy	18
Czternastodniowa działalność Strzelców pod komendą Józefa Piłsudskiego	23
Laski	32
Zpod Warszawy	39
Bitwa pod Krzywopłotami	44
Na Podhalu	52
Łowczówek	61
Wyprawa sandomierska	67
Jazda brygady Piłsudskiego	73





MAPA

MARSZÓW I WALK BRYGADY
J. PIŁSUDSKIEGO
SKALA 1:750000

- Miejsowości dla orientacji
- Wielkie bitwy
- Najbardziej pierwsze bitwy
- Wielki
- Marche podziemu odwrotnego
- Marche oddziału partyzanckiego
- Marche kawalerii partyzanckiej
- Dzielenia = I okresie / 2. i 3. /
- Dzielenia = II okresie / 1. i 2. /
- Dzielenia = III okresie / na podkaszubie /
- Dez-organizacja ONR / 28. II. 1957



32754/
12